

● TYGIEL W KRAŚNIKU ● GŁOS Z FAJSŁAWIC ● STRAJK AUTOBUSÓW  
● LICYTACJA SZMELCU ● CAŁA BIAŁA (PODLASKA) ● GORĄCE  
WILNO ● ŻYD Z POLSKI ● HARCERZE RZECZYPOSPOLITEJ ● ARMIA  
CZERWONA NA LUBELSZZCZYŹNIE ● 1944 - ZWROT W POLITYCE

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

# relacje

LUBLIN, 26.10-01.11.1989 R.

NR 41

CENA 200 ZŁ

## Kiedy dostatek żywności ?

TEN reportaż zacznę od liczb, ponieważ one przekonują najlepiej. 28 procent energii pochłania w Polsce hutnictwo żelaza, dając dochodu narodowego — zgadnijcie ile? — zaledwie 3,1 procenta. W poprzednim reportażu napisałem (za Roczniakiem Statystycznym 1988), że jedną szóstą tego dochodu wytwarza rolnictwo. Był to jednak błąd, wynikający z tego, że krajowa statystyka służyła nie rzetelnemu informowaniu, ale uzasadnianiu słuszności aktualnej linii politycznej.

Otóż w skład tzw. dochodu narodowego wlicza się u nas każdą pracę, chociażby była to praca bezsensowna i w rzeczywistości zubożająca kraj. Np. w wartość wytworzenia mąki wlicza się koszt zawiezienia jej do młyna w Czechosłowacji, a w wartość mleka 100-kilometry transport od rolnika do mleczarni. Zaś od wartości pozy-

## BOGACTWO PODLASIA

Andrzej W.  
Pawluczuk

skanego w sposób rabunkowy węgla nie odlicza się kosztów zrujnowania zabudowy mieszkalnej w miastach śląskich, kosztów spowodowanych zanieczyszczeniem rzek, wód podziemnych i wzrostem chorób. Przeciwnie! Odbudowa domów, zrujnowanych przez zapadanie się gruntu, liczona jest jako tworzenie nowej wartości ekonomicznej.

Paranoja jest więc kompletna i trzeba lat, aby tę prostą arytmetykę zmusić na powrót do obliczania wartości naprawdę tworzonych, a nie marnowanych. Wracając do rolnictwa. Jeżeli policzymy dochód narodowy w sposób racjonalny, odejmując koszty marnotrawienia i brakoróbstwa, to okaże się, że rolnictwo wytwarza w Polsce przeszło 50 procent rzeczywistego dochodu narodowego i daje 70-80 procent produkcji rynkowej. Tyle bowiem zarobków wydaje się dzisiaj przeciętnie na produkty rolnicze.

Na Podlasiu dojeżdża się z Lublina w niecałą godzinę. Zaraz za Kockiem, miastem niedużym, ale znanym w Polsce z historycznej bitwy, kieruję się szosą na wschód, a tu zmienia się zasadniczo krajobraz wsi, jaki opisałem w poprzednim reportażu. Widzi się już furmanki, a na polach sporo ręcznej roboty i mechanizację o napędzie konnym. Nie trzeba być znawcą ekonomii, by zgadnąć, że rolnictwo jest na Podlasiu mniej opłacalne niż na dobrych, podlubielskich ziemiach.

Dokończenie na str. 8-9

„Rządzili, jak chcieli, to mamy, czego nie chcemy”

## TYGIEL W KRAŚNICKICH „ŁOŻYSKACH”

Zbigniew Dzięciotek

CO? Przyjmie? — dopytuje się pani z biura przepustek. Odkładam słuchawkę telefonu i kiwam potakująco głową.

— Ma pan szczęście — dodaje, bo dyrektor potrafi mieć humory. Jestem w Kraśnickiej Fabryce Łożysk Tocznych.

O mającej powstać tu spółce dowiedziałem się od jednego z pracowników. Dyrektor Zarkowski, wprawdzie niechętnie i z oporami, zgodził się na chwilę rozmowy.

— To już nie macie się czym zajmować, tylko fabryką? — pytał przez telefon.

W gabinecie stwierdził, że spółka to zwykłe plotki. Kondycja zakładu jest dobra i nie ma powodów do jakichkolwiek obaw. Może kiedyś. W przyszłości. Niewykluczone. Mówił jednak

zdwakowo i od niechcenia. Jakies półśłówka, wzruszenie ramion, zdziwienie.

Wyszedłem.

Technolog, który oprowadza mnie po pustych o tej porze halach fabrycznych, też nie chce rozmawiać:

— Dyrektor nic nie mówi? — upewnia się i dodaje: — Ja nic nie wiem. Ludzi niech pan pyta.

Cedzi z uwagą każde słowo, ale wy czuwałam, że nie mówi wszystkiego. Nie wracam więcej do tego tematu. Do końca przerwy śniadaniowej pozostało jeszcze dziesięć minut.

Idę do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Przewodniczący Mieczysław Łazarz chce rozmawiać.

Już na wstępie słyszę, że dyrektor Zarkowski rozłożył cały zakład. Niby wszystko się trzyma, ludzie pracują,

ale jak długo jeszcze? Większość maszyn pochodzi z końca lat 60. i początku 70., a są i takie, które pamiętają okres tuż powojenny. Jedynie wydziały kulkowy i igielkowy mają nieco lepszy, japoński sprzęt. Właśnie o nich mówił dyrektor, kiedy przez fabryczny radiowęzeł informował załogę o istniejących możliwościach stworzenia spółki z kapitałem zagranicznym.

— Dobrze, że w ogóle o tym wspomniał — podkreśla Łazarz. — Jeszcze dwa, trzy lata temu pies z kulawą nogą by nie wiedział o podobnych zamiarach. Dyrektor Zarkowski traktował fabrykę jak swój prywatny folwark. Jego koncepcja rządzenia była prosta. Zamordyzm, zamordyzm i jeszcze raz zamordyzm. Za Gierka tak

Dokończenie na str. 6-7



Krzysztof Stanowski, naczelnik Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, na ślubnym kobiercu z drużną Barbarą — wywiad str. 11.



# relacje

## ZE ŚWIATA

● Sekretarz generalny KC NSPJ, Erich Honecker, zrezygnował, z powodu złego stanu zdrowia, z pełnienia wszystkich stanowisk partyjnych i państwowych. Nowym I sekretarzem został Egon Krenz, dotychczasowy zastępca Honeckera.

● „— Jak działacze »Nowego Forum« odnoszą się do kwestii zjednoczenia Niemiec?

— Dyskutujemy także i o tym. Wszyscy zgadzamy się, że do zjednoczenia dojść musi. Różnice pojawiają się przy formułowaniu odpowiedzi na pytanie — jak i kiedy? (fragment wywiadu z Michaelem Turkiem, ewangelickim pastorem z Lipska, członkiem „Nowego Forum” w NRD; tekst w „Gazecie Wyborczej”).

● Z ankiety przeprowadzonej w Republice Federalnej Niemiec wynika, że co czwarty obywatel tego kraju wierzy, iż w ciągu najbliższych dziesięciu lat dojdzie do zjednoczenia Niemiec.

● Telewizja ernerowska przekazała informację o uchodźcach z NRD, przebywających w ambasadzie zachodnio-

niemieckiej w Warszawie. Jest to pierwsza tego rodzaju informacja, która ukazała się w środkach masowego przekazu naszych zachodnich sąsiadów.

● Jeszcze wiosną tego roku w szpitalach psychiatrycznych w Związku Radzieckim przebywali chorzy, których przypadki określano jako „bezobjawowa schizofrenia”. Uzasadnieniem takiej diagnozy były stwierdzenia, że chory cierpi na „manię politycznego reformatorstwa” lub „intoksykację filozoficzną”.

● Zgromadzenie Ogólne Międzynarodowego Stowarzyszenia Psychiatrycznego (WPA) opowiedziało się za ponownym przyjęciem — na razie tymczasowo — w szeregach organizacji Radzieckiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Związek Radziecki został wykluczony z tej organizacji w 1983 roku pod zarzutem wykorzystywania klinik psychiatrycznych do izolowania osób niewygodnych politycznie.

● Agencja Reutersa informuje, że szesnastoletni Melih Calayoglu, uczeń jednej z tureckich szkół, napisał na ławce słowo „marksizm”, za co posłano go do więzienia i szpitala psychiatrycznego.

● „Moskowskie Nowosti” opublikowały materiały z dyskusji na temat katastrofy atomowej w Czarnobylu pt. „Wielkie kłamstwo”. Wynika z nich, że rozmiary tej tragedii i stan zagrożenia

od początku, aż po dzień dzisiejszy, są fałszowane.

● Specjalna komisja, powołana przez parlament gruziński w celu wyjaśnienia okoliczności tragicznych wydarzeń w Tbilisi, które pociągnęły za sobą śmierć 19 demonstrantów (w tym 16 kobiet), stwierdziła, że część odpowiedzialności za rozpędzenie demonstracji na początku kwietnia br. ponoszą centralne władze radzieckie. We wnioskach komisji wymienia się byłego szefa KGB W. Czebrikowa, ministra obrony D. Jazowa, I. Ligaczowa oraz kilku innych członków najwyższego kierownictwa radzieckiego.

● Już ponad 22 tysiące uchodźców z Rumunii znajduje się na terytorium Węgier. Wśród nich oprócz Węgrów są przedstawiciele narodowości rumuńskiej i niemieckiej.

● Nowa Węgierska Partia Socjalistyczna zwolni 30 procent ludzi z aparatu partyjnego zatrudnionych dotychczas w WSPR. Dziennikarze z prasy węgierskiej zastanawiają się, gdzie znajdują „taką” pracę zwolnieni, skoro np. dotychczasowy I sekretarz Komitetu Miejskiego WSPR zarabiał 40 tys. forintów, czyli pięć razy więcej niż wynosi przeciętna pensja w tym kraju.

● Wbrew sugestiom Michaiła Gorbaczowa, litewski Komitet Centralny zdecydował o przeprowadzeniu XX Zjazdu. Na zjeździe będzie rozważona koncepcja wystąpienia Komunistycz-

nej Partii Litwy z KPZR oraz wprowadzenia systemu wielopartyjnego.

● W Związku Radzieckim został zamordowany Aleksander Sotnikow, jeden z przywódców lipcowego strajku górników na Ukrainie.

● Tegoroczna Nagroda Praw Obywatelskich im. Roberta Kennedy'ego przyznana została czołowemu dysydentowi chińskiemu, astrofizykowi, prof. Fang Lizhi. Od czasu czerwcowej masakry w Chinach prof. Lizhi wraz z żoną przebywa w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Pekinie.

● Don Ritter, przewodniczący komisji Kongresu USA, ds. Afganistanu, oświadczył, że Związek Radziecki zwiększył we wrześniu pomoc militarną dla rządu w Kabulu do 400 mln dolarów.

● Według ankiety dziennika „Liberation” i Instytutu Badania Opinii IFOP, 25 proc. Francuzów opowiada się za zwiększeniem pomocy reformującym się krajom wschodnioeuropejskim, 42 proc. popiera takie projekty, 17 proc. odnosi się do tego niechętnie, a 8 proc. jest zdecydowanie temu przeciwnych.

● Przedstawiciele największego zachodniemieckiego banku prywatnego Deutsche Bank poinformowali, że ma on zamiar otworzyć w najbliższym czasie swoje przedstawicielstwa w Warszawie i Budapeszcie.

# relacje

## Z KRAJU

● 400 milionów dolarów kredytu, leki i żywność dla Polski „przywiózł” premier Tadeusz Mazowiecki z oficjalnej wizyty we Włoszech.

● Dla najuboższych, którym zagraża głód, rząd przygotowuje bony żywnościowe (od 1 grudnia br.), uprawniające do zakupu podstawowych artykułów spożywczych (mleko, ser, chleb). Będą one przysługiwały rodzinom o najniższych dochodach. Przewidziano bony dla 4,5 miliona biednych.

● Z rezerw państwowych trafi na rynek żywność wartości 73 mld zł. Pacjentom cywilnym udostępni się 40 proc. miejsc w szpitalach wojskowych.

● Po trzech kwartałach 1989 roku poziom cen detalicznych był o 119,6 proc. wyższy niż przed rokiem.

● Zapasy handlu topnieją w zaskakującym tempie. O ile w marcu starczało ich na 50 dni sprzedaży, o tyle w końcu września już tylko na 34 dni.

● Do końca września 1989 roku oddano do użytku o 41,5 proc. mniej mieszkań niż w analogicznym okresie ubr.

● Rada Ministrów zdecydowała, że od podatku wyrównawczego wolne są

dochody nie przekraczające 3696 tys. zł. co daje miesięcznie 308 tys. zł.

● Przeciętna liczba godzin pracowanych w tygodniu przez polskich robotników, poza rolnictwem i leśnictwem, wynosiła w 1987 roku — 36,7. Dla porównania we Francji wynosiła 39 g, w W. Brytanii 43,1 g, Szwajcarii 42,8 g, Japonii 40,8 g, Republice Federalnej Niemiec 40,2 g.

● „O posunięciach rządu ludzie są teraz informowani gorzej niż kiedyś. Taką polityką informacyjną jest dla rządu samobójstwo” — powiedział Edward Wende na posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

● Do przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsy przychodzi sto podań dziennie od przedsiębiorstw szukających partnerów za granicą — informuje „Gazeta Wyborcza”.

● Polska jest światową potęgą w liczbie różnego rodzaju uzdrowiaczy przypadających na sto tysięcy mieszkańców. Równocześnie zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w Europie pod względem ilości patentów i wynalazków (też na sto tys. mieszkańców).

● Pierwszy sekretarz KC PZPR, Mieczysław F. Rakowski, po rozmowach z Michaiłem Gorbaczowem w Moskwie, powiedział m.in. że radziecki przywódca „deklarował, i nie jest to deklaracja czcza, że KPZR traktuje polską partię jako sojusznika, a także, iż będzie wspierał wszystkie poczynania zmierzające do umocnienia polskiej partii w społeczeństwie”.

● W Toruniu uczestnicy porozumień poziomych PZPR z lat 1980—81 zawiazali Toruńską Inicjatywę Socjaldemokratyczną. Jej celem jest doprowadzenie do XI Zjazdu rozwiązującego PZPR oraz powołanie partii o charakterze socjaldemokratycznym.

● „Nawet etyka katolicka, z którą zetknąłem się w młodości, nie ukazała mi nic bardziej wartościowego niż idee socjalizmu” — powiedział sekretarz KC PZPR, Włodzimierz Natorf, w wywiadzie dla „Polityki”.

● Minister transportu i żeglugi uchylił zarządzenie swego poprzednika, umożliwiające oddawanie za darmo samochodów do celów służbowych i prywatnych oraz finansowanie ich eksploatacji ze środków przedsiębiorstwa.

● Zapytany przez „Gazetę Wyborczą”, czy wierzy w powstanie wielkiej partii chłopskiej, Lech Wałęsa odpowiedział: „Nie wierzę. Bo jak jedna partia chłopska — monopol chłopców, którzy nie będą nam chcieli dać jeść — to jedna partia robotnicza, jedna partia nauczycieli, jedna lekarzy. Ja uważam, że błędem dzisiaj byłoby dążyć do jednej partii chłopskiej, błędem do jednej partii robotniczej. I na to ja nie mogę pozwolić”.

● „Członkostwo PZPR nie ma wpływu na działanie prezydenta jako głowy państwa, a poza tym nie ma przepisów formalnych, które by stawały jakiegokolwiek wymogi w tej kwestii” — z konferencji prasowej szefa kancelarii prezydenta, min. Mi-

chała Janiszewskiego, i rzecznika prasowego prezydenta, Włodzimierza Łozińskiego.

● „Nie wystarczy skończyć z podawaniem w telewizji kłamstwa. Trzeba jeszcze oddać ją w ręce ludzi o nieskompromitowanych twarzach. Dopiero wtedy telewizja umożliwi rządowi pełen kontakt z opinią publiczną. A bez tego nie będzie jakiegokolwiek kompromisów między rządem a społeczeństwem” — powiedział na konferencji prasowej przewodniczący OKP, Bronisław Geremek.

● „Trzeba oczyścić to szambo, stosując wszystkie dostępne środki asenizacyjne” — powiedział o telewizji A. Szczepkowski na spotkaniu posłów i senatorów OKP z kierownictwem Radikomitego [Wraca nowe... — red.].

● Przed gmachem Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Kołobrzegu wybuchła bomba. Eksplozja zniszczyła dwa samochody. W siedzibie RUSW wyleciały szyby.

● W przeddzień żydowskiego święta Jom Kipur (Dzień Pojednania) niezłani sprawcy zamalowali farbą tablicę z napisem Państwowy Teatr Żydowski im. Estery Racheli Kamińskiej, umieszczoną na ścianie frontowej Teatru Żydowskiego w Warszawie. Obok zamalowanej tablicy dopisano: „Za kłasztor”.

## Odnajdziesz się w „Relacjach”

- Jeżeli założyłeś firmę;
- Jeżeli Twoja firma zmieniła adres lub numer telefonu;
- Jeżeli proponujesz nowe usługi lub towary;
- Jeżeli masz telefon, a nie ma Cię w książce telefonicznej.

### Skorzystaj

Chcemy pomóc przedsiębiorcom państwowym i prywatnym, menedżerom, rzemieślnikom, handlowcom i tym wszystkim, którzy korzystają z ich usług. Pomoc ta polegać będzie na publikowaniu w „Relacjach” aktualnego rejestru firm prywatnych i państwowych, sklepów, punktów usługowych itd. oraz ich aktualnych adresów i telefonów. Także — według życzenia — informacji o świadczonych przez nie usługach, o ich ofertach itd. Także na publikowaniu aktualnych telefonów prywatnych, jeżeli nie ma ich w książkach telefonicznych. W ten sposób powstanie „INFORMATOR FIRMOWY RELACJI”. Dzięki „Informatorowi” usprawnisz swoją pracę, o wiele rzadziej będziesz korzystał z numerów 912 i 913, oszczędzisz sobie stresów.

„INFORMATOR...” zawierał będzie trzy działy: NOWE FIRMY, NOWE ADRESY I TELEFONY; MOJ NOWY TELEFON.

„Informator” będziemy publikować od 2 listopada do czasu aż wyczerpiemy wszystkie zgłoszenia. W ten sposób powstanie rejestr ofert, adresów i telefonów. Dla Ciebie, dla Twoich znajomych i klientów.

### ZGŁOSZENIA

przyjmuje Redakcja Tygodnika Wschodniego „Relacje” — Lublin, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 2 w godz. 10—14 oraz Biuro Ogłoszeń — Lublin, ul. Rybna 13.

### KOSZT

zamieszczenia informacji w „INFORMATORZE” jest taki sam, jak za inne ogłoszenia prasowe.

### CO WAŻNE

Tygodnik „RELACJE” sprzedawany jest nie tylko w regionie, ale także w całym kraju.

## UWAGA! PREZYDENCI MIAST, NACZELNICY MIAST I GMIN, NACZELNICY GMIN

Biurowo Planowania Przestrzennego Przedsiębiorstwo Państwowe Użyteczności Publicznej w Lublinie przyjmie do opracowania w latach 1990—1991

- plany ogólne i szczegółowe zagospodarowania przestrzennego miast, gmin, ośrodków gminnych, terenów budownictwa mieszkaniowego wielorodzinnego i jednorodzinnego z wyznaczeniem terenów pod skoncentrowane budownictwo jednorodzinne
- ocenę aktualności planów ogólnych i szczegółowych i ich aktualizację
- studia programowo-przestrzenne dla potrzeb gospodarki przestrzennej
- koncepcje planów realizacyjnych
- programy ogólne infrastruktury technicznej w miastach i na obszarach wiejskich.

Biurowo Planowania Przestrzennego gwarantuje wysoką jakość opracowań oraz zapewnia kompleksową obsługę w zakresie toku formalno-prawnego wynikającego z ustawy o planowaniu przestrzennym.

W czasie prac nad planem świadczymy usługi w zakresie opiniowania spraw do decyzji administracyjnych.

Tylko Biurowo Planowania Przestrzennego w Lublinie zatrudniające wysokiej klasy specjalistów — urbanistów zapewni Wam w szybkim czasie utworzenie możliwości rozwojowych odpowiadających zmieniającym się potrzebom.

Oczekujemy zgłoszeń pod adresem: Biurowo Planowania Przestrzennego Przedsiębiorstwo Państwowe Użyteczności Publicznej w Lublinie, ul. 22 Lipca 9, tel. 220-49, 258-30. 8535/K-2



**K**IEROWCY MPK wiele już razy byli przeklinani przez pasażerów. Równie często padały epitetki pod adresem ich przedsiębiorstwa. Sytuacja stała się jednoznaczna, gdy pewnego dnia do zajezdni na Majdanie Tatarskim wrócił z trasy autobus z powybijanymi szybami. Dla pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Lublinie była to miara prestiżu ich firmy.

Nie przeczę, że klienci mają rację, pomstując na opóźnienia, „wypadanie” autobusów z rozkładu jazdy, na nie najlepszą obsługę. Jednakże, bijąc się w piersi, twierdzą, że to tylko jedna strona medalu. Oni, którzy znają swój zakład od środka, wiedzą, jak wygląda druga.

#### PIENIĄDZE

„Żądamy od władz miasta zapewnienia środków na bieżące funkcjonowanie komunikacji miejskiej w Lublinie i Kraśniku. Załoga MPK”. Ulotki tej treści pojawiły się w początkach października w większości autobusów i trolejbusów. Wtajemniczeni wiedzieli, że w razie braku odzewu ze strony władz, przedsiębiorstwo miało stanąć 19 października. Nad firmą zawisło widmo bankructwa.

— Decydecji zaspali — stwierdził Marek Ślusarczyk, przewodniczący NSZZ Pracowników MPK. — Jeszcze w lipcu, przed fatalnym dla nas w skutkach urynkowaniem, sygnalizowaliśmy prezydentowi miasta i wojewodzie rosnący deficyt; wtedy były to 2 miliardy złotych, teraz urosł on do prawie 7 mld zł. Poza tym 30 czerwca rozporządzenie Rady Ministrów zniósło 70-procentową dotację na zakup nowego taboru dla przedsiębiorstw komunikacyjnych. Teraz za każdy autobus musimy płacić w całości sami. Październik rozpoczęliśmy bez grosza w kieszeni i stąd tak dramatyczne stanowisko naszej załogi.

Sytuacja finansowa lubelskiego MPK nigdy nie była zadowalająca. No, może z wyjątkiem przełomu lat 1985—86, ale nie trwało to długo. Natomiast rok 1989 od początku rysował się w czarnych kolorach. Planowana sprzedaż biletów, za trzy i pół miliarda złotych rocznie, wymagała dotacji z miejskiej kasy w wysokości 6,3 mld. Tymczasem MPK dostało dokładnie 4.709.744 zł, co od razu postawiło pod znakiem zapytania sprawne funkcjonowanie komunikacji w Lublinie, przynajmniej na dotychczasowym poziomie. Już na początku roku niedobór wynosił 1,5 miliarda złotych. Parę miesięcy później wbity został ostatni gwóźdź do trumny. Urynkowanie gospodarki.

Janusz Tomczyk, kierownik działu ekonomicznego MPK:

— Już rok temu wystąpiliśmy z propozycją podniesienia opłaty za przejazd z 15 na 20 złotych. To nie byłaby wielka podwyżka, a skoro nie stać miasta na dotację, to płacić musieli pasażerowie. Innego wyjścia nie było.

I ta propozycja upadła. Na początku tego roku chcieliśmy 30 złotych za bilet, lecz urzędnik, mocno trzymający się przepisów i procentami odmierzający centralne zarządzenia, zezwolił tylko na 26 złotych. Stąd m.in. wzięły się kłopoty z biletami o takim nominale. Ciągłe więc jeździliśmy po mieście z deficytem. Wtedy, gdy można było jeszcze uratować sytuację, nie dano nam pieniędzy, no i mamy teraz to, co widać na mieście w godzinach szczytu.

— Nieporozumieniem jest, że decyzje o przyznaniu środków finansowych podejmuje wojewoda, a wyplaca ze swej kasy prezydent miasta — mówi Marek Ślusarczyk. — Fundusze dzieli zarówno MRN, jak i WRN. WPZZ opiniuje, najczęściej negatywnie, podwyżki cen biletów, a przecież istnieją jeszcze komisje branżowe przy Urzędzie Miejskim i Wojewódzkim. Wszystkie te instytucje mają wpływ na naszą działalność i nie wiadomo teraz, do kogo mieć pretensje, że w odpowiednim czasie nikt nie wyciąg-

dy w MPK nie było. O, ta grasa stoi zepsuta od pół roku. Narzędziowy wzrusza ramionami, na nową w cenę 500 tys. zł nie ma pieniędzy — opowiada o swej pracy brzydździasta z 30-letnim stażem Witold Lipczak. — Zwykle klucze musimy sami dorabiać. Suwmiarkę mam tę samą od lat. Teraz mierzy ona z półmilimetrowymi odchyłkami. Chałupnictwo — inaczej tego nie można nazwać! Niech pan się rozejrzy po warsztacie. Czy widzi pan tu jakąś nową część? Wszystko regenerujemy, nawet po dziesięć razy. Brakuje nawet płótna ściernego, a gołyimi rękami wiele się nie zdziała. Stąd i robota na pół gwizdka. Trafia się taki dzień, że lecę do magazynu i narzędziowni po część — nie ma. No to staram się wyszabrować ze starych wozów, też nie zawsze się uda. Wreszcie kleję coś własnymi rękami, osiem godzin roboty mijają i gdyby ktoś się zapytał: „Coś ty dzisiaj zrobił konkretnego?” — to trudno byłoby się nawet wytłumaczyć. Narobiłem się, nabiegałem potąd, a wyników nie ma.

tor MPK, po rozmowach z prezydentem Edwardem Leńczukiem i wicewojewódzą Władysławem Sabą, otrzymał wreszcie dla swego zakładu 1,6 mld dotacji. Wystarczy tego do końca miesiąca, może jeszcze na kawałek listopada. Co potem?...

Zastępca dyrektora ds. ekonomicznych, Alicja Gruszecka, widzi na razie takie rozwiązanie:

— Podejmiemy rozmowy z naczelnikami gmin, przez które jeżdżą nasze podmiejskie autobusy, na temat pokrycia części kosztów eksploatacji. Chodzi o sumy powyżej 100 mln zł rocznie w przypadku każdej linii. W innym razie pozostaje tylko ich likwidacja... Odchodzimy także od dopłat do miesięcznych biletów pracowniczych. Zmniejszymy liczbę przystanków dla oszczędności eksploatacji pojazdów, rozwiniemy jeszcze bardziej własną sieć sprzedaży biletów. Już ograniczyliśmy do minimum inwestycje własne i kapitalne remonty taboru.

Są to jednak tylko półśrodki, które nie zastąpią dotacji. Wstrzymanie in-

## PROTEST CZERWONYCH AUTOBUSÓW

Marek Podgajny

nał do nas pomocnej dłoni. Tym bardziej, że specjalna komisja z Urzędu Miejskiego, która przyglądała się naszej pracy, ustaliła, że potrzeby są uzasadnione i nie wynikają z niegospodarności czy z nieumiejętności zarządzania przedsiębiorstwem.

A potrzeby są ogromne. Z powodu braku pieniędzy nie wykupiono ze Słupska do tej pory połowy z 22 przyznanym Lublinowi trolejbusów. Również w Jelczu autobusy są gotowe do drogi do Lublina: 10 ikarusów i 42 krótkie jelicze M-11. Znosi się jednak, że jeszcze długo postoją, bo za ikarusy trzeba płacić 50 milionów złotych, a za jelicze — 39 mln. Skąd wziąć pieniądze, gdy brakuje ich nawet na bieżące latanie starego taboru? Już w tej chwili 36 sztuk podlega kasacji bezwzględnej, w tym 9 trolejbusów. Jeszcze trochę i nie będzie w ogóle czym jeździć.

Komunikacja miejska — twierdzą fachowcy — nigdy nie zarobi na sobie, jeżeli ma być dostępna dla wszystkich i dużo tańsza od taksówki. Na całym świecie magistraty dopłacają do czerwonych, niebieskich lub żółtych autobusów. Z wyliczeń dokonanych przez pracowników MPK wynika, że o ile nie nastąpi uzupełnienie dopłaty budżetowej, konieczna będzie podwyżka cen biletów do ok. 370 złotych za przejazd.

#### ROBOTA

— Takiej sytuacji jak teraz to nig-

Jerzy Adamczyk, kierowca na linii nr 39, już drugi dzień siedzi w rezerwie, a jego wóz stoi na kanale.

— Kierowca traci na postojach. Zeby przywozić zarobić, musimy jeździć „po dwa miesiące w miesiącu”, czyli prócz ośmiu godzin łapać nadgodziny, pracować w soboty i święta. Kto nie jeździ, nie zarabia. Ludzie, patrząc, co się u nas dzieje, zastanawiają się, czy nie szukać roboty gdzie indziej. A zmotoryzowani wiedzą doskonale, co oznacza kilka godzin bezustannego krążenia po ciasnych i rozkopanych ulicach Lublina takim autobusem jak ikarus.

Czesław Nadoiny, także kierowca, na jednym z zebrań powiedział:

— Jeździmy na łysym ogumieniu, bo innego nie ma [jedna opona produkcji chińskiej kosztuje 760 tys. zł — przyp. M. P.]. Nawet pióra wycieraczek w naszych wozach są zdarte; gdy pada deszcz i jest ciemno, to z naprzeciwka widzę tysiące mijających mnie świateł. Moi koledzy kierowcy nie chcą być kaskaderami, ale pracują w takich a nie innych warunkach, więc w rzeczywistości nimi są.

#### PRZYSZŁOŚĆ

Wywieszenie w autobusach ulotek informujących o proteście załogi wywołało pożądany efekt. W poniedziałek, 16 października, doszło w przedsiębiorstwie do spotkania wiceprezidenta Otmara Wilczewskiego z przedstawicielami załogi. Weześniej dyrek-

westycji musi przecież kiedyś odbić się czkawka, zrobi się ciasno w istniejących już halach i warsztatach.

Tymczasem koszt przejazdu autobusu na odcinku 1 kilometra wynosi 1000 złotych. W ciągu roku autobusy robią ponad 26 mln kilometrów. Tu nie ma na czym oszczędzać, potrzeba po prostu wciąż nowych pieniędzy.

Natomiast w Kraśniku sytuacja tamtejszej komunikacji wydaje się być lepsza zarówno pod względem zaplecza technicznego, jak też ilości taboru w stosunku do wielkości miasta i liczby mieszkańców. Od 1 stycznia 1990 roku oddział kraśnicki przejdzie pod zarząd naczelnika miasta. Odciąży to Lublin, ale czy władze Kraśnika stać będzie na to...

Na razie MPK w Lublinie trzyma się jeszcze na powierzchni i czeka na dalszą pomoc. Nie chodzi tu o pieniądze na pensje dla pracowników, lecz środki na samochody, części zamienne, benzynę i elektryczność. Kierowca łącznie z godzinami nadliczbowymi zarabia ok. 320 tys., mechanik — 200—250 tys. Dużo?

— Załoga nie urządza strajków, nie protestuje przeciw komuś — mówi zmęczonym głosem dyrektor naczelny Eugeniusz Szyplowski. — Oni chcą tylko bezpiecznie i w przyzwoitych warunkach przewozić swoich pasażerów.

## Głos z Fajstawic

# KTO MA RZĄDZIĆ W GMINIE

Henryk Sienko

**J**ÓZEF Wronski gospodaruje na 10 hektarach w Fajstawicach. Jak twierdzi — ma zbyt mało ziemi, żeby można się było w czymś wyspecjalizować. Uprawia więc buraki, ziemniaki, zboże... Podobnych rolników jest w Fajstawicach większość. Ale to dzięki Józefowi Wronskiemu o Fajstawicach mówi się i pisze nawet w Europie, to dzięki niemu Fajstawice z dnia na dzień stały się symbolem walki o chłopskie sprawy.

Kilka lat temu Józef Wronski zakazął wyniki wyborów do Sejmu PRL i po siedmiu rozprawach w warszawskim sądzie sprawę wygrał.

Dziś Fajstawicę mają swojego senatora, tu skupia się ruch Solidarności RI woj. lubelskiego, tu codziennie zjeżdżają pielgrzymki dziennikarzy z kraju i ze świata.

6 i 7 października w miejscowym kinie uczestniczyłem w regionalnym seminarium nt. samorządów terytorialnych. Uczestnikami seminarium byli działacze samorządowi z ośmiu województw Polski południowo-wschodniej, aczkolwiek przyjechali też ludzie ze Szczecina, Konina i Sanoka.

Wprowadzeniem do dyskusji był wykład senatora Adama Stanowskiego

na temat odbudowy samorządu terytorialnego w Polsce. Potem docent Bohdan Ledworowski mówił o mieniu komunalnym w strukturach samorządowych. Mądre to były wystąpienia, ale na twarzach niektórych działaczy zauważyłem niepokój i zdziwienie. Potem, w kulturalnych rozmowach zapytałem, co ich tak zaniepokoiło. „Tu się mówi już o wyborach, nawet o propozycjach personalnych, a u nas nie ma jeszcze formalnie Komitetu Obywatelskiego” — odpowiadano.

Jako kolejny mówca głos zabrał Józef Kuśmierk. No i zaczęło się, ryknęły decybele, gromada żurnalistów skoczyła do magnetofonów, by obniżyć skalę potencjometrów. Tymczasem la-tający (dosłownie — przybył do Fajstawic z trasy maratonu pt. „Tropem stopy życiowej”) ze swadą, godną oratorów najwyższej klasy, grzmiał w mikrofon:

„Chłopy, nie czekajcie, aż wam szanowny Senat czy Sejm uchwalą ustawy i dekryty, sami »róbcie« sobie te wasze gminne przedsiębiorstwa. Czy wy wiecie, że taka gmina Fajstawice w 1987 roku miała ponad 24 mld złotych obrotu, czy wy wiecie, że takiego

obrotu nie miała ani jedna huta, ani stocznia, czy wy wiecie, że za takie pieniądze można kupić połowę akcji Ursusa? Te akcje będą niedługo sprzedawane, ale wy ich nie kupicie, wy w tym czasie będziecie czekać, aż wam Sejm pozwoli działać”.

Potem, już w czasie wykładu pt. „Nie ma samorządu bez gospodarki” Kuśmierk zdenerwował się jeszcze bardziej:

„Chłopy, czy wy wiecie, że na każdym sprzedanym buhaju państwo oszukuje was na 200 tys. Byłem w Radomiu, w Radoskórze, widziałem faktury za skóry z waszych lubelskich buhajków, kupione w Lubartowie po 200 tys. za sztukę. A czy wiecie, że skóry z waszych cieląt, kupione przez Włochów, wyprawia się dzisiaj w Lyonie, a mięso, już w puszkach, przysyłają z powrotem do nas. My więc nie mamy ani mięsa, ani skór, i bez butów chodzimy. Nie dajcie się oszukiwać. Zakładajcie spółki, budujcie ubojnie, sami sprzedajcie Włochom czy Radoskórowi skóry!”

Co chwilę gorące oklaski przerywają wykład, a w zasadzie instruktaż Kuśmierka. Ludzie byli zaszokowani ostrością widzenia spraw rolnictwa przez warszawskiego reportera:

„Zaden kraj na świecie nie wydzwignął się z kryzysu, jeżeli nie postawił na rolnictwo, na rozwój gospodarki żywnościowej. U nas było inaczej, u nas z każdego zakrętu wyjeżdżało się na chłopskich plecach! A przecież niektóre gminy produkują rocznie nie jak w Fajstawicach za 24 mld zł; są takie, które robią i po 500 mld obrotów. Jed-

na gmina! A tu tyle się grzmi o deficytach w hutnictwie, w górnictwie, przemyśle maszynowym. Ludzie kochani, to horror! Kiedy powiedziałem premierowi Messnerowi, że wystarczy zwiększyć rentowność rolnictwa o 5 procent i zlikwidujemy deficyt budżetu, to dyskretnie mnie obśmiano. Ja wam mówię, że wy jesteście siłą tego narodu, tylko nie czekajcie na wskazówki i kierunkowskazy. Zakładajcie banki (te dzisiejsze — BS — to złodzieje), zakładajcie towarzystwa ubezpieczeniowe, rządźcie się sami — i tylko w takiej formule samorządzenia nasza nadzieja”.

Józef Kuśmierk jest rolnikiem, gospodaruje na 9 ha pod Warszawą, mieszka w stolicy, wychowany był w rodzinie mieszczańskiej. Od początku swojej dziennikarskiej kariery pisze o sprawach wsi i rolnictwa. Jest doradcą kilku ministrów rolnictwa państw wschodu i zachodu. U nas, niestety, nie słuchano go, nie wolno go było drukować, a tam, gdzie się ze swoimi radami i ocenami napraszał — traktowano go po prostu jako jeszcze jednego zbawiciela-maniaka.

Kiedy zakończył wykład, ponad 150 uczestników seminarium przez kilka minut biło mu brawo.

Od Kuśmierka nie mogłem się „uwolnić” nawet po pierwszym dniu seminarium. Przypomniałem sobie fragment jego artykułu z „Tygodnika Kulturalnego”:

„Rolnictwo stało się u nas przekleństwem — pisał. — Jeżeli ktoś chciał coś obrazić warczał: Do gnoju, do widel... ty chamie ze wsi!”



## Korespondencja własna z USA

Uczestnikom konfliktu  
o Karmel oświęcimski...

- Imię i nazwisko?  
— Eli Zborowski.  
— Jak?  
— Zborowski...  
— Proszę przeliterować. Albo — nie. Napisać.  
— ...  
— Trudne to. Proponuję uprościć. Będzie się pan nazywał: „Zboro”. Brzmi lepiej. Po amerykańsku.  
— Dziękuję.  
— No widzi pan...  
— Dziękuję, ale ja chcę być dalej Zborowski.  
— Niech pan nie utrudnia. Przecież dobrze panu radzę. Nie zna pan przecież Ameryki. Łatwiej jest z łatwiejszym nazwiskiem.  
— Dziękuję, ale wolę swoje własne.  
— No, skoro się pan tak upiera... W każdym razie będzie pan jeszcze żałował.  
— Urzędnik zaczął kaligrafować w formularzu nazwisko przybysza. Równie dziwne jak on sam.  
— Pan się urodził w Polsce? — pytał dalej znad papierów imigracyjnych.  
— Tak. W 1925 roku. W Żarkach koło Częstochowy.  
— I tak tego nie powtórzę. Pan jest Polakiem?  
— Żydem.  
— Ale nazwisko ma pan polskie.  
— Bo jestem polskim Żydem.  
— Żydem z Polski? To jak pan przeżył wojnę?!  
— Uratowali mnie Polacy.  
— Polacy? Jak?  
— Zwyczajnie...

**SZCZUPLY** mężczyzna. W jasnej koszuli z podwiniętymi rękawami. W przedwieczornym zamyśleniu. Przed ulubionym obrazem Kossaka. W wygodnym fotelu. Z opróżnioną do połowy lampką dobrego francuskiego koniaku. Do intruza, którego zaprosił do swego domu w nowojorskiej Forest Hills:

— Pamiętam ten dzień. Połowa lutego 1952 roku. Urzędnik Immigration Office był ciekawy, ciekawością człowieka, który uważa, że z racji funkcji wie wszystko. Nawet o wojnie, Polsce, obozach, Żydach, holocaustie. Choć mógł to wszystko znać z książek, gazet lub z potocznych opinii. Więc dziwny był Żyd polski, który ni rusz nie chciał pozbyć się kłopotliwego balastu polskiego nazwiska i jeszcze upierał się, że to Polacy go uratowali od śmierci. Odpowiadałem spokojnie. Co mogłem robić? Przecież to ja byłem petentem, ja miałem sprawę do Ameryki, a nie ona do mnie. Ja tu przybywałem jako imigrant. Ja i moja rodzina. Zona Diana w piątym miesiącu ciąży, brat Marwin i siostra Cesia. To była dla nas Ziemia Obiecana. Czy można się obrażać na Ziemię Obiecaną?  
— Mówi uważnie, śledząc moją reakcję. Szukając jakby potwierdzenia swoich słów. Wypowiadanych elegancką polszczyzną w ciepłej domowej atmosferze luksusowej rezydencji. W fizycznej bliskości Kossaka i Kmity na ścianie. Choć w drugiej części salonu i Chagall, i Matisse. Za oknem kłębi się duszny, gorący nowojorski wieczór. Cykady przekrzykują się w krzewach ogrodu. A my o Żarkach.

— Mieszkali Zborowscy w Żarkach od końca XVII wieku. Byli tutejszymi rabinami, sędziami (dajanami), rzemieślnikami, kupcami. Żyli po bożemu, życiem religijnych chasydów. Nikomu nie wadząc. Z Polakami w zgodzie, w sąsiedztwie Matki Boskiej Częstochowskiej.

— Mój ojciec Mosze był — jak to się wtedy mówiło — skórnikiem. Uszlachetniał skórę i przygotowywał dla rzemieślników szyjących z niej różne wyroby. Dziadek był dajanem i rozstrzygał rozmaite spory i konflikty żarczkiej gminy. Jego z kolei ojciec — rabinem i notariuszem. Mosze Zborowski był jednym z dziesięciorga dzieci, a jego żona, moja matka Zysla, pochodziła z rodziny, gdzie było dziewięćcioro potomstwa. Nas w domu było troje. Ja byłem najstarszy, potem Marwin i Cesia. Wszyscy chodziliśmy do szkoły żydowskiej, chaderu, i polskiej szkoły powszechnej. Mieliśmy wielu polskich kolegów. Ta dwujęzyczność i dwukulturowość była czymś naturalnym. Pamiętam, że siedziałem w jednej ławce z Jurkiem Bernackim. Bawiliśmy się często po lekcjach, graliśmy w piłkę. By-

wało jednak, że przychodziła kolejna moda na dokuczanie Żydom i wtedy Jurek przezywał mnie, czy nawet przyłożył mi raz i drugi. Nie przeżywałem tego jednak w jakiś specjalnie dolegliwy i tragiczny sposób. W sobotę naturalnie nie chodziłem do szkoły. Miałem jednak kolegów, którzy przynosili mi tego dnia, po południu, zeszyty, abym sobie mógł odpisać lekcje. To było dla nich coś zupełnie oczywistego. Dla mnie — też. Również rodzice mieli bardzo poprawne kontakty sąsiedzkie z Polakami. Pomagali sobie wzajemnie. Do dziś pamiętam znakomicie panią Wyrczowską, która codziennie dostarczała nam mleko...

— Żarki były poważnym centrum żydowskim. W 1939 roku mieszkało w nich osiem tysięcy ludzi, w tym blisko

szyl eksodus na wschód. Ludzie uciekali z czym mógł. Pędzili przed sobą bydło. Trzeciego dnia, pod wieczór, pojawili się pierwsi żołnierze niemieccy. Piątego września, w poniedziałek, hitlerowcy zaczęli strzelać bez ostrzeżenia do ludzi na ulicach. Przede wszystkim do Żydów, wyróżniających się wyglądem, ubiorem. Padli pierwsi zabici. Tego dnia strzelano do Żydów także w innych miastach i miasteczkach. Był to początek terrorku, którego rozmiarów nie przeczuwano jeszcze ani w Żarkach, ani gdziekolwiek indziej. Wehrmacht zawitał także do Zborowskich. Na początek pobito ojca rodziny i kilkoma ciężarówkami wywieziono skóry ze składu. Rozpoczęła działanie administracja niemiecka.

— Jak większość kolegów z harcerstwa, byłem przekonany, że wojna nie potrwa długo. Wierzyliśmy we Francję i Anglię, tak jak w to, że po no-

„Haszomer Hacair”, które bardzo dobrze znałem. Byli to moi rówieśnicy, młodzi chłopcy rwący się do walki. Odwiedzałem te getta także w towarzystwie Anielewicza i jego ludzi z Warszawy.

— Tuż po 1 stycznia 1943 roku byliśmy w Częstochowie, gdzie wyłoniona została pięćdziesięcioosobowa grupa bojowa. Grupa stuosobowa miała pochodzić z getta radomskiego... Przybyliśmy tam 4 stycznia. W nocy getto zostało okrażone przez Niemców, Ukraińców oraz pewną liczbę polskich żandarmów i rozpoczęła się akcja likwidacyjna. Ludzie byli wypędzani z domów i zaganiani na ciężarowe „budy”. O podjęciu jakiegokolwiek oporu nie było mowy, ze względu na zaskoczenie. Wyostałem się na zewnątrz, przekonawszy polskiego żandarma. Nie wiem, czy uwierzył w moje papery, czy też zwyczajnie zrobiło mu się mnie żal. Kiedy już byłem po stronie pol-

## ZBOROWSKI

Waldemar Piasecki



I inni...

Fot. Jacek Wcisło

sześć tysięcy Żydów. Działała znana synagoga żarczka, a rabin Twerski uchodził za nie tylko biegłego w „Talmudzie”, ale przede wszystkim człowieka wielkiej mądrości życiowej, zawsze chętnie służącego radą. Był on przedstawicielem naszej rodziny.

Kwitło w naszym miasteczku także życie polityczne. Działały żydowskie organizacje — od skrajnie ortodoksyjnych do postępowych, od świeckich do syjonistycznych. Przekrój i różnorodność były takie jak w Warszawie, choć oczywiście nie w takiej skali. Ludzie wyżywali się zatem, gdzie kto chciał, a nieraz linie podziału biegnęły przez rodziny. Rozwinięty był także ruch pomocy społecznej, którym otoczone były sieroty i wdowy oraz ludzie potrzebujący. Były liczne szkoły i biblioteka żydowska. Pamiętam nasze Żarki, jako miejsce barwne, hałaśliwe, rozpolitykowane, podatne na nowości, otwarte na świat. U nas powstał pierwszy w Polsce kibuc na farmie.

— Do dobrego tonu należało do czegoś należeć. Ja należałem do postępowego ruchu harcerskiego „Haszomer Hacair”...

Eli Zborowski miał niespełna czternaście lat, gdy wybuchła wojna. Żarki leżały bardzo blisko ówczesnej granicy polsko-niemieckiej i stan napięcia w końcu sierpnia trzydziestego dziewiątego udzielał się wszystkim ich mieszkańcom. Niektórzy wyjeżdżali, ale nie było to powszechne zjawisko. Zborowski nie przeszło to nawet przez myśl.

**P**IERWSZE bomby spadły na Żarki drugiego września. Zniszczonych zostało kilka domów. Dom Zborowskich — uszkodzony. Wtedy ru-

cy przychodzi dzień. Póki co, organizowaliśmy się w „piątki”, potajemnie spotykali i przekazywali wiadomości. Rozglądaliśmy się także za jakąś broń. Pomoc jednak nie nadchodziła, natomiast Niemcy robili wszystko, aby pokazać nam, gdzie jest miejsce Żydów. Wkrótce dorośli zostali zagonieni do ciężkich robót fizycznych. Głównie przy usuwaniu zniszczeń, pracach budowlanych. Mój ojciec trafił do gaszenia wapna. Żyliśmy z tego, co dostawał, i z oszczędności. Było biednie, ale jeszcze nikt na nas nie polował. Ciągle pozostawała nadzieja.

W 1941 roku w Żarkach pojawia się Mordechaj Anielewicz. Spotyka się z tamtejszymi aktywistami młodzieży i przekonuje, że eksterminacja Żydów jest kwestią czasu. Namawia do organizowania samoobrony. Eli Zborowski jest jednym z tych, którzy nie mają wątpliwości. Kiedy ludność żydowska Częstochowy i Radomska zostanie zamknięta w gettach, młody Zborowski stanie się łącznikiem Anielewicza i jednym z organizatorów grup bojowych.

— Po likwidacji getta lubelskiego, wiosną i jesienią 1942 roku przestaliśmy mieć złudzenia. Uznaliśmy, że tylko walka, choćby nawet była bezradziejna, jest najlepszą drogą. Takie były nasze racje moralne: zginąć, ale pokazać, że Żydzi walczą! Od połowy czterdziestego drugiego miałem aryjskie papery. Nazywałem się Lucjan Henryk Wesołowski. Często przebywałem w Częstochowie i Radomsku. Chodziło o zorganizowanie oporu w tamtejszych gettach. Rozmowy prowadziłem głównie w środowiskach dawnego

skiej, dowiedziałem się, że w getcie znajduje się nadal moja narzeczona Dora Rottenberg.

— Wróciłem ponownie. Dotarłem do domu, gdzie mieszkała u swoich dalekich krewnych, i zabrałem ją ze sobą. Przemknęliśmy się przez kordon, przeczekaliśmy w jakiejś klatce schodowej. Postanowiliśmy jak najszybciej opuścić miasto. Rano znaleźliśmy się na drodze w kierunku Częstochowy. Tam spostrzegł nas chłop i zawołał, abysmy stanęli. Podjechał do nas wozem i spytał, gdzie idziemy i czy nie jesteśmy przypadkiem z getta. Zacząłem tłumaczyć, że nie, ale Dora miała bardzo typową, semicką urodę i na niewiele się to zdawało. Ostatecznie dałem mu, co miałem przy sobie, aby dał nam spokój. Uszliśmy kilka kilometrów i znów natknęliśmy się na chłopca. Wziął nas na wóz bez żadnych pytań i podwiózł tak daleko, jak mógł. Nic od nas nie chciał. Jestem przekonany, że wiedział, kim jesteśmy. Koniec końców dotarliśmy do Żarek, skąd mój ojciec wyekspediował Dorę do Myszkowa, gdzie mieszkał jej wuj. Kilka tygodni później zabrali ją z całą rodziną wuja do Oświęcimia. Tam zginęła w komorze gazowej.

Rok 1943 przyniósł Eliemu i dramat niespełnienia miłości, i klęskę niespełnienia bojowego.

Kiedy Eli w ostatnich miesiącach czterdziestego drugiego zajęty był konspiracją, Mosze Zborowski zdecydował, że rodzina powinna zacząć się ukrywać. Umieszczał kolejno żonę z dwójkiem pozostałych w Żarkach dzieci pod kilkoma adresami. Na dwa, trzy dni, na tydzień, na trzy. Za „Bóg zapłać” i za



złoto. Jak się dało. Nie targował się. W styczniu czterdziestego trzeciego postanowił zadbać o trwalsze i bezpieczniejsze ukrycie. Spotkał się z mistrzem murarskim Józefem Placzkim. Zнали się od dawna. Placzek stawał w dwudziestym ósmym domu Zborowskiemu. Zaprzyjaźnili się, często odwiedzali. Eli opowiada, że obaj mężczyźni nie mówili wiele podczas tego spotkania.

— Wiesz, o co chcę cię prosić? — spytał Mosze.

— Wiem. Daj mi dwa tygodnie. Wyszukuję taką melinę, że nikt nie znajdzie — odpowiedział Józef.

Murarz uwinął się w sześć dni. W swoim domu dobudował dwie ściany. Jedną drewnianą na strychu, drugą z cegły — w piwnicy. Obie przesuwane i obie nie do odróżnienia od oryginalnych. Rodzina Zborowskich trafiła na strych i tam mieszkała. Gdy przychodziły oblawy, zbiegali do piwnicy i chowali się za ścianą murowaną, która wydawała się Placzkowi solidniejszą kryjówką. Początkowo ukrywała się tam matka, Marwin i Cesia. W sierpniu czterdziestego trzeciego dołączył także Eli, kiedy udało mu się ująć pokłeskę zrywu getta częstochowskiego. Należał do najdzielniejszych jego bojowców.

— Placzkom nie przelewało się — powie Eli. — Mieli ośmioletnią córeczkę Jadzię. Niemcy za robotę placili symbolicznie, wszystko było na kartki i ani grama więcej. Józef musiał radzić sobie nie tylko z wykarzeniem swojej rodziny, ale także z naszą córką. Nie usłyszałem jednak, aby narzekał choćby słowem. Pewnej nocy udzielił nam nasz ojciec, który pracując kiedyś przy budowie tajni, wykombinował pół metra suszonej fasoli i grochu, a potem w nocy dostarczył do domu Placzków. Na jakiś czas starczyło. Główny ciężar i ryzyko ponosiła jednak dzielna rodzina polska, chroniąc nas jak ludzi sobie najbliższych. Na dobre i złe.

**W**SIERPNIU 1943 roku Niemcy przystąpili do ostatecznego likwidowania kwestii żydowskiej w Żarkach. Pozostałych przy życiu niewolników zapędzono w pierwszych dniach tego miesiąca do synagogi i tam zamknięto. Po dwóch dniach żandarm Nowakowski powiedział Zborowskiemu, że nazajutrz Niemcy wyprowadzą Żydów na miejscowy kirkut i tam rozstrzelają. Rankiem Mosze Zborowski i dwaj inni więźniowie wyskoczyli z drugiego piętra budynku świątyni i rzucili się do ucieczki. Gonił ich Nowakowski. Dwaj współtowarzysze Zborowskiego szybko osłabli i dali się złapać. Z pościgu za trzecim uciekinierem żandarm zrezygnował. Mógł strzelać, ale też tego nie zrobił. Eli wie o tym od świadków.

Mosze chciał za wszelką cenę dotrzeć do odległej o czternaście kilometrów wsi Bobolice. Tam miał znajomych chłopów. Nie udało się. Został zabity w polu przez „jakichś ludzi”. Także „jacyś ludzie” wkrótce potem przyszli do chałupy, gdzie Zborowski miał znaleźć schronienie. Domagali się od gospodyni wydania innych Żydów, po czym pobili ją i ograbili. Nie taill, że adres poznali od takiego jednego, z którym „mieli okoliczność w polach”. Eli Zborowski:

— Na własną rękę starałem się wyjaśnić okoliczności śmierci ojca. O widzenie ludzi szukających innych Żydów dowiedziałem się po przybyciu, że nie powiem o tym nikomu. Kobieta najwzajemniej bała się. Nie powiedziała mi, kto to był, ale wymieniła nazwę wsi, z której pochodzili „goście”. Oczywiście nie mam dowodów, ale jestem przekonany, że ludzie ci mogli znać adres tylko od ojca. Wkrótce nasza czwórka miała trafić do Bobolic, gdzie przetrzymali nas państwo Józef i Apollonia Kołaczowie. Musiałem wybierać: czy zajmować się szukaniem tych, z którymi ojciec „miał okoliczność w polach”, czy ratować nas wszystkich. Wybór był oczywisty.

Zgodnie z zapowiedzią żandarma Nowakowskiego, Żydzi zarecy zostali wy-mordowani na kirkucie. Polowano już teraz na pojedynczych ukrywających się. Zborowscy zdecydowali, że muszą opuścić dom Placzków. Pożegnali się ze sobą, tak jak by to robili na zawsze. Odeszli w noc. Po dwóch kolejnych, w dzień kryjąc się w polu, dotarli do chałupy Kołaczów.

Bobolice były najbiedniejszą wsią w okolicy, a Kołaczowie miejscowymi biedakami. Mimo to przyciągnęli Zborowskich jak rodzinę. Zdecydowali się

ukrywać nie tylko czwórkę z Żarek, ale także sześcioro innych Żydów w kurniku, a dwóch dalszych u siostry Józefa Kołacza.

— Józef Kołacz imponował mi — wspomina Eli. — Miał dwie klasy szkoły powszechnej, ale był niezwykle bystry i inteligentny. Był przy całym oczywistym niebezpieczeństwie sytuacji, opanowany i tak spokojny, jakby się nic nie działo. Jakby nie było wojny, Niemców i kary śmierci za przechowywanie Żydów. Kołaczowie mieli roczną córeczkę Adelkę. W domu mieszkał też ojciec Józka i jego siostra. Największym problemem Józka było, obok przygotowywania pożywienia, także dostarczanie produktów (na przykład mąki z młyna) tak, aby nikt się nie zorientował, że mogą być one potrzebne nie tylko dla Kołaczów, ale jeszcze kogoś...

W kurniku Kołaczów zastała Zborowskich wolność. Był 17 stycznia 1945 roku. Data, którą zapamiętują do końca życia. Wtedy bowiem urodzili się po raz drugi.

Po wyzwoleniu Eli Zborowski zaczął szukać swoich Żarek i swego świata. Nie znalazł. Nowy świat, który przyszedł ze wschodu, był innym światem.

— Czuję się wypalony w środku i tak bardzo obcy, że nie mogłem się odnaleźć. Ojciec nie żył. Nic nie mieliśmy. Polska nie była już moją Polską. W lipcu 1945 roku, w pierwszym transporterze dzieci, opuszczaliśmy Polskę. Oficjalnie nazywało się, że jesteśmy dziećmi... greckimi. Dojechalśmy pociągami do amerykańskiej strefy okupacyjnej i tam, na statkusie tzw. dziecięcej imigracji, zostali w obozie zatrudniono mnie jako nauczyciela. Miałem dwadzieścia lat.

— Jesienią 1947 roku poznałem tu Dianę Wilf. Zakochałem się w niej i w grudniu 1948 roku wzięliśmy ślub. Zdecydowaliśmy, że będziemy ubiegać się o emigrację do USA. Był to wówczas bardzo popularny kierunek wyjazdów.

**M**AŁŻONKA Eliego, jakby prze-czuwając, że o niej mówimy, zaprasza do stołu.

— Kawa, panowie, stygnie. Jest ciasto. Ta wojna może trochę poczekać — mówi to łagodnie, lecz tonem pani domu, dla której nie tylko sprawy męża i jego gościa są ważne.

Ta kobieca ingerencja jest potrzebna. Idąc do stołu, Diana pokazuje fotografie dzieci i wnuków. Córka Lili mieszka w Izraelu, syn Morris — tu, w Stanach. Robi się domowo. Zapach kawy miesza się z zapachem jej perfum.

— Wie pan, ten obraz Kossaka mąż kupił na aukcji w Sao Paulo. Dowiedział się od kogoś, że ma być licytowany, więc zatelefonował do przedstawiciela firmy i zlecił wystąpienie w jego imieniu.

— Jest piękny, prawda? — pani Diana prowadzi nas w estetyczne rejony odległe od holocaustu.

— Lubię też ten obraz Kazimierza. Malował Kmita. Nazwisko raczej nieznane, ale jaki wspaniały nastrój. To z kolei prezent od...

— ... dobrego znajomego. W Polsce wszystko jest polityką, kochanie. Po co ktoś ma pomyśleć, że się chwylimy. Liczy się przede wszystkim gest przyjaźni, a nie adres, z którego przychodzi — przerywa delikatnie Eli.

Snuje się rozmowa o domu, dzieciach, podróżach. Przegrzana ciastem z migdałami, zapijana doskonałą kawą parzoną po włosku i tak odległą od tego, co Amerykanie nazywają „regular coffee”, jak Warszawa od Nowego Jorku. Jednak pobyt w krainie relaksu musi się skończyć i znów wrócić ta dawniejsze.

— Pierwsze trzy lata po przybyciu do Ameryki były bardzo trudne. Dziś czasami je wspominamy i zastanawiamy się, czy to rzeczywiście było — powie Diana. — Zaażliśmy się w zupełnie nowym otoczeniu. Nie znaliśmy prawie wcale angielskiego. Największym problemem było jednak znalezienie pracy. Mąż wychodził rano w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia i wracał wieczorem kompletnie zniechęcony. Bywało, że następnego dnia rano nie chciał w ogóle wychodzić z domu. Wtedy dosłownie wypychałem go za drzwi. Mówiłam, że dziś musi się udać. Pierwsza stała praca Eliego była dla nas wielkim świętem.

Dalej — jak w amerykańskim śnie. Eli Zborowski wykazuje duży talent marketingowy. Wie i czuje, gdzie i co można sprzedać, jak organizować ry-

nek dostawców. Jest skuteczny. Polem działania Zborowskiego jest rynek materiałów biurowych, papierniczych, w tym piór i długopisów. Zdolny handlowiec trafia do firmy „Sheaffer”, która od lat toczy walkę o rynki z równie znanym „Parkerem”. Ta rywalizacja wykreuje go z czasem do pozycji prezesa wiodącej części koncernu — Sheaffer Latin America Corporation, w której powstaje lwia część produkcji i zysku. Standard materialny pozwolił na zamieszkanie w rezydencyjnej Forest Hills, otaczanie się dziełami sztuki, podróżowanie.

Nie tylko jednak.

— Wyjeżdżając z Polski, myślałem, że już nigdy do niej nie będę wracać. Myliłem się i przyznaję: zgrzeszyłem. Polski zaczęło mi brakować bardzo szybko. Kontakty handlowe i przyjacielskie zacząłem nawiązywać już we wczesnych latach sześćdziesiątych. Starałem się także robić coś dla zachowania pamięci o polskich Żydach, którzy z tej ziemi wyrastali, na niej żyli i w niej spoczęli na zawsze. Niestety, rok 1968, który był szokiem dla wszystkich Żydów, a także dla większości opinii światowej, zburzył na kilka lat kontakty. Pojawiły się odruchy niechęci wobec Polski, a także — co jasno trzeba powiedzieć — próby wzniecania nastrojów antypolskich poprzez prezentację filmów, książek, artykułów, wyników badań itd. Byłem daleki od tej hysterii i starałem się pracować dla niwelowania niechęci i wiązania pozrywanych nici kontaktów polsko-żydowskich. Datą bardzo ważną dla powstania takich szans było usunięcie Władysława Gomułki, jednoznacznie kojarzonego z Marcem '68, a z czasem także innych eksponentów tamtych wydarzeń, m.in. Moczara...

**W**1970 roku Eli Zborowski wraz ze Stefanem Grajkim, partyzantem i bojownikiem getta warszawskiego zakładają Światową Organizację Bojowników, Partyzantów i Ofiar Hitleryzmu. Zostaje jej wiceprezydentem. Włącza się także w organizowanie Amerykańskiej Federacji Żydów Polskich i w 1974 roku zostaje jej wiceprezydentem. W tym też czasie otwiera pierwszą w USA katedrę uniwersytecką do badań nad holocaustem Jeshiva University, której jest fundatorem.

— Wychodziłem z założenia, że nie służy lepiej wzajemnemu poznaniu i kontaktom żydowsko-polskim, jak rzetelna wiedza naukowa oparta na faktach, a nie legendach. Nade wszystko zaś prawda. Jaka by ona była. Zrozumiałem także, że czynnikami najtrwalejszymi łączącymi Żydów i Polaków w okresie okupacji była wspólna walka z hitlerowcami. Konsekwencją tego było założenie gazety „Martyrdom and Resistance”, w której takie właśnie fakty są prezentowane, a której jestem wydawcą i redaktorem naczelnym. Naturalnie pismo zajmuje się wszelkimi przejawami oporu zbrojnego Żydów przeciwko hitlerowcom, nie tylko tym, gdy współdziałali z Polakami, ale tych właśnie jest bardzo dużo — mówi Zborowski.

Prócz wątku martyrologiczno-kombatanckiego starał się Eli Zborowski wiązać z Polską kręgi kapitałowo-orzemysłowe. Był inicjatorem takich kontaktów już w początku lat siedemdziesiątych.

— Mało kto w Polsce wie, jak wielu liczących się biznesmenów, przemysłowców, bankierów amerykańskich, to ludzie wywodzący się z Polski, polscy Żydzi lub ich dzieci. Bardzo poważną część z nich otwarcie mówi, skąd się wywodzą, wielu mówi do dziś po polsku. Nie żywią oni do Polski i Polaków niechęci, co nie znaczy, że pozostają obojętni na obecny stosunek do Żydów nad Wisłą. Jest moim marzeniem, aby ten ogromny potencjał przyciągnąć do Polski i tam go wykorzystać. Chodzi jednak o uczciwe reguły gry, o wzajemne poszanowanie oraz o obojętny interes. Może nieco romantycznie wierzę w to, że należy pomagać swojej ojczyźnie, a taką dla mnie pozostanie Polska i Żarki, i Częstochowa. Dlatego staram się zawsze mówić o tych elementach, które Żydów i Polaków łączyły i łączą, a nie o tych, które dzieliły lub mogą dzielić. Do tego zawsze będą chętni po obu stronach.

Dodaje też, że pozostanie partnerem w dialogu z każdym polskim rządem i każdą ekipą, która uzna jego rolę pomocy za dobrą monetę. Gwoli informacji: Eli Zborowski jest prezydentem Amerykańsko-Izraelskiej Izby Przemysłowo-Handlowej. Zartując mówi, że z

wieloma jej członkami bardzo łatwo dogaduje się po polsku.

Zupełnie innym polem realizacyjnym pasji Zborowskiego jest współpraca z Instytutem Pamięci Narodowej „Yad Vashem” w Jeruzolimie. Czym jest dla Żydów pamięć, nie trzeba szerzej objaśniać, zwłaszcza ta boleśnie wiążąca się z latami holocaustu. Prestiż zatem „Yad Vashem” jest ogromny nie tylko w Izraelu, ale i świecie. Otóż Zborowski (dodajmy jego kolejną funkcję: prezes American Society for Yad Vashem) zinicjował przekazywanie tej pamięci w kamień. Na terenach instytutu powstaje monumentalna realizacja Doliny Gmin, gdzie upamiętniona zostanie pomnikiem każda gmina żydowska w Europie, jaka istniała przed II wojną.

— Nie muszę chyba mówić, że więcej pamięci upamiętni gminy z terenów Polski. Jest to dla mnie wiecznie żywy dowód na to, że właśnie w Polsce żydostwo kwitło i miało warunki rozwoju często lepsze niż gdzie indziej. Tak więc nie będzie to tylko oddanie holdu męczeństwu i śmierci, ale także życiu i historii — komentuje.

Diana spogląda na swego męża. On akurat nalewa do kieliszków „Wyborową”. Rozgrzany, rozemocjonowany tym, o czym mówi.

— Widzi pan — powie miękko Diana — on jest chory na Polskę. Dla niego niemal wszystko co żydowskie ma jakieś odniesienie, kontekst polski. No może przesadzam... Ale on się bardzo na tym koncentruje. Jak się pan pewnie domyśla, to nie zawsze jest popularne. Ja jednak wiem, że on już się nie zmieni. Mówiąc prawdę — wcale nie chcę żeby się zmienił.

**I**NAGLE w tym polsko-żydowsko-amerykańskim zawikłaniu pojawia się wątek wart osobnego reportażu. Na stole dziewczęcy pamiętnik, w którym nauczyciel rysunków wpisał się swojej ulubionej uczennicy i naszkicował jej portret. Uczennicą była Diana Wilf, a profesorem Bruno Schulz. Skromny, zakompleksiony belfer z Drohobycza, nocą przekładający z niemieckiego Kafkę i piszący swe „Sklepy cynamonowe”.

I znów wraca ten pejzaż. Polski Żyd, inżynier Wilf buduje szyby naftowe. Jego żona jest ozdobą drohobyckiego towarzystwa, a córki przymaskami w polskim gimnazjum. I znów ten scenariusz. Panowie w czarnych mundurach i czapkach z trzypiętą główką. Getto rozstrzelane w pobliskim lasu. Uczennica Diana oglądająca z ukrycia maskarkę, także swoich najbliższych. I pan od rysunków z roztrząsaną czaszką na bruku ulicy. I Polka, wspaniała kobieta, która ukryje Dianę pod swoim własnym łóżkiem. I przechowa. Nawet, gdy w pokoju przez ścianę stać będą na kwaterze dwaj gestapowcy. A potem te listy w charakterystycznych kopertach z wydrukowanymi znaczkami za pięć kopiejek, adresowane do Nowego Jorku (aż dziw lecz doszły!):

„Kochanie! Dziękuję Ci z całego serca za sweter i rajstopy. Sweter sprzedałam za 60 rubli, a rajstopy, trzy pary po trzy ruble. Sama był wolała w tym chodzić, takie piękne, ale trzeba było na życie...”

I jeszcze list z informacją, że wy-bawczyni Diany została pochowana na drohobyckim cmentarzu. Została tam, gdzie była jej ojczyzna. I ta wycieczka do ZSRR Diany i jej córki Lili. Tylko po to, aby na chwilę się urwać i przez okno taksówki (której szofer umierał ze strachu, ale za sto rubli) pokazać córce dom rodzinny i ten las na wzgórzach, gdzie dziadkowie spotkali Mesjasza. Pokazać ojczyznę.

Diana ociera łzy.

Eli:  
— Panie Piasecki, pan jest Polakiem. Ja — Żydem. Ale ja zaraz dodaję: polskim Żydem. Bo tak muszę, bo jestem z tego dumny. Czy pan to rozumie? Setki lat razem byli Żydzi z Polakami, Polacy z Żydami. W Polsce. Myślę sobie nieraz, że i ja tam setki lat mieszkałem. I moja dusza. Kto nas ukarał naszym rozejściem? Za co? Nasze narody na polskiej ziemi już się nie spotkają. Są Żydzi, którym nie sposób tego udźwignąć.

Postscriptum: Pozostają kwestie, które umieszczam w tym miejscu. Wybawcy Zborowskich, rodziny Placzków i Kołaczów, posiadają tytuły „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata”. Eli Zborowski i jego rodzzeństwo zachowali je w pamięci. Pamięć ta sięga obecnie trzeciego pokolenia. Jest to pamięć dobra.

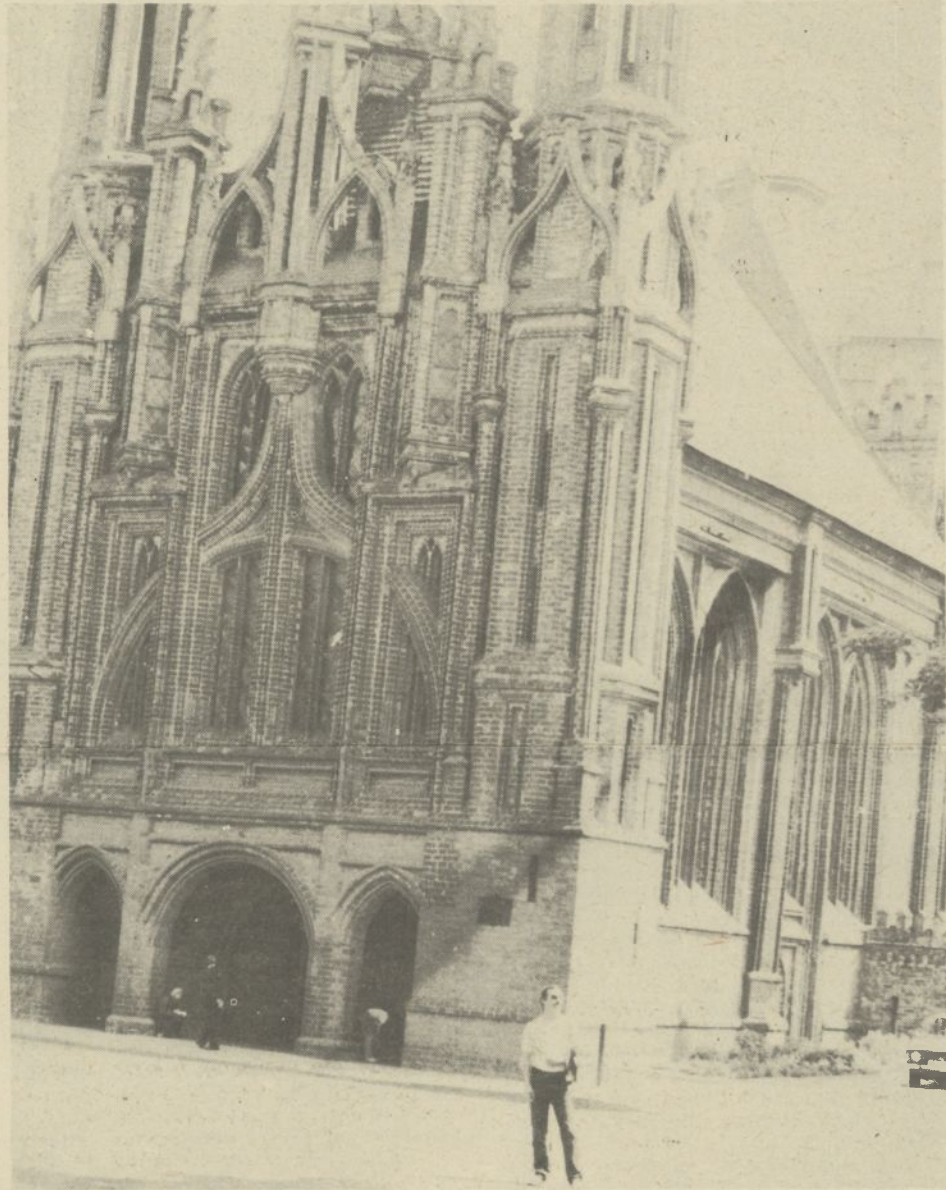


## Gorące Wilno

**D**OPIERO ze wzgórza zamkowego, z wysokości ośmiokątnej wieży Gedymina dobrze widać Wilno. tonące w zieleni, rozrzucone na lesistych pagórkach i poprzecinane przez

kręte nurty Wilif (po litewsku: Neris) i Wilejki.

Niewiele europejskich starówek posiada tak zwartą zabudowę jak Wil-



Wileński gotyk.

Fot. Danuta Rynkiewicz

no; na obszarze 255 ha aż 1244 zabytkowe budowle, wśród nich wiele niepowtarzalnych. Oglądać je z baszty Gedymina to jakby wertować wspólnie ilustrowany podręcznik stylów architektonicznych na przestrzeni dziejów.

Ciasno od kamiennych baszt, barokowych kopuł, iglastych wież gotyku. Świeżymi złoceniami lśni cerkiew. Klucze nieboskłon surowa strzelistość mrocznej czerwienu cegły — kościół św. Anny, jeden z najcenniejszych zabytków architektury późnogotyckiej na

Rozglądam się dalej, korzystając z lornetki. Oto arcydzieło baroku, kościoł św. Kazimierza, do 4 marca 1969 roku mieszczący Muzeum Historii Religii i Ateizmu. Dowiedzieć się w nim można było, że na Litwie też płonęły inkwizycyjne stosy z ludźmi i książkami, i to nie komuniści je rozniecali... Interesująco zilustrowane były w tym muzeum tradycje kultu religijnego, m.in. jego wpływ na twórczość ludową, także w tym karykaturalnym, prześmiewczym wymiarze, bogatym w prząsny żart wymierzony w kapłanów-krwiopicjów.

# MIĘDZY A OSTRYM

Henryk Makarski

terenie ZSRR (ta dekoracyjna fasada!). To tę świątynię zachwycony Napoleon chciał przenieść na dłoń do Paryża.

Niewielki, ale wspaniale zgrabny kościół św. Anny łączy się galerią w całość architektoniczną z większym i masywniejszym (również gotyckim) wnętrzu zadziwia unikalnym pięknem dwanaście ołtarzy barokowych, wykonanych w drewnie klonowym przez mistrza Daniela Giotto na przełomie XVII i XVIII wieku.

Bernardyni niegdyś wstawili się tym, że potajemnie chodzili do Bernardynek, co skończyło się boleśnie, bo zazdrośni i purytańscy kalwini zaczęli ich ostrzeliwać z łuku, no i jedna ze strzał utkwiała w obrazie świętym. To tak rozgniewało króla, że kazał kalwinom wynosić się aż za wały miejskie. W przylegających do kościoła zabudowaniach poklasztornych mieści się obecnie Akademia Sztuk Pięknych. A ta majestatyczna gotycko-renesansowa budowla obok to ostatni z „trojczków” niepowtarzalnego zespołu architektonicznego — XVII-wieczny kościół św. Michała, obecnie Muzeum Architektury.

Wspomagam ostrosć lornetki ostrością pamięci. A warto się nieco wysilić, bo oto w kadrze kolejna perła wileńskiego baroku — kościół św. Piotra i Pawła. Nie, określenie „kolejna perła” tym razem brzmi trywialnie. To perła pereł, wulkaniczny wybuch szalu twórczych do pełnienia swojej powinności przez hetmana Wielkiego Księstwa Litewskiego, wojewodę wileńskiego Michała Kazimierza Pacy, w roku 1668.

Budowę rozpoczęto na miejscu drewnianej świątyni, pamiętającej ponoć księcia Olgierda, a strawionej przez liczne wojny i jeszcze liczniejsze pożary, które w owych czasach były zjawiskiem częstym i groźnym nie do wyobrażenia dla XX-wiecznego człowieka. Gmach nowej świątyni wzniesiono w ciągu 8 lat zaledwie, ale wystrój wnętrza trwał bardzo długo. Po rozlicznych perturbacjach (m.in. śmierć fundatora) wydawało się, że zakończenie prac nastąpi na początku XIX wieku. Jednakże włoscy mistrzowie, olśnieni i nieśmieleni wspaniałością wnętrza, nie odważyli się podjąć budowy ołtarza głównego. Poprzestali na zbudowaniu dwóch ołtarzy bocznych

Dokończenie ze str. 1

ludźmi nie pomiatano jak po 13 grudnia. Do niedawna jakakolwiek dyskusja była zupełnie niemożliwa. Narady u naczelnika z kadrą kierowniczą miały zawsze formę monologu. Ci, którzy próbowali się odzywać, więcej już tego nie zrobili. Ludzie nauczyli się, że mówienie prawdy to jedno, a milczenie to drugie. Każdy chciał jakoś żyć.

— Dyrektor miał też wielkopańskie gesty — dodaje. — W takich razach zwykły mawiać: „To ilu tam palantom trzeba dać podwyżkę?” albo: „Dam wam po dwa tysiące na ryja i wystarczy”.

Przewodniczący „Solidarności” podaje liczby: 500 hektarów powierzchni, 6200 pracowników. (Oznacza to, że prawie z każdej rodziny w Kraśniku ktoś pracuje w fabryce). Roczna produkcja oscyluje w granicach 20 mln łożysk, nie licząc samych kulek do łożysk i gazowych butli turystycznych. W 1988 r. z eksportu uzyskali 12 mln dolarów.

Na dzisiaj jest dobrze. Tylko jak długo jeszcze?

Fabrykę Łyżysk Toczonych zżera biurokracja. W 1960 roku, kiedy pracowało tu 9 tysięcy pracowników, było 4 dyrektorów. Dzisiaj załoga zmniejszyła się o prawie 3 tysiące, a dyrektorów jest 7. Na niższych szczeblach sytuacja wygląda podobnie. Oprócz dyrektora do spraw produkcji jest szef produkcji i specjalista do spraw produkcji. Tylko produkcja pozostała jedna i w żaden sposób nie chce się poróżnić.

Kiedyś istniał na terenie fabryki Ośrodek Badawczo-Rozwojowy, zajmujący się konstrukcją nowych maszyn i urządzeń dla przemysłu łożyskowego. Ośrodek posiadał własny wydział produkcyjny, gdzie powstawały m.in. nowe obrabiarki, a stare modernizowano. OBR był na własnym rozrachunku finansowym, a więc nie obciążał

żal budżetu FŁT. Dodatkowo, nowe maszyny sprzedawał kraśnickiej firmie o jedną trzecią taniej niż wynosiła ich cena rynkowa. Po wprowadzeniu stanu wojennego, minister na wniosek dyrektora, ośrodek zlikwidował.

— Jak można było podjąć taką decyzję — dziwi się Łazarz. — Przecież nasze być albo nie być zależy przede wszystkim od zaplecza technicznego. Nie można zarzynać bezkarnie maszyn, śrubując w nieskończoność produkcję. To się mści. To, co teraz mamy, to w większości szmelc wymagający natychmiastowej wymiany bądź modernizacji. A kto ma się tego podjąć, skoro najlepsi konstruktorzy o-

Łazarz nie jest przeciwnikiem inwestowania zachodniego kapitału w zakładzie. Sami, jak twierdzi, nie wyjdą z dołka. „Solidarność” ma konkretne propozycje. Spółka, owszem. Ale na zasadach korzystnych dla całej fabryki. 55 proc. udziałów pozostaje własnością załogi, reszta należy do zachodniego partnera (zakładając, że cała FŁT wchodzi do spółki). W zarządzie regionu w Lublinie byli już przedstawiciele firm amerykańskich, których interesuje taki układ. Natomiast to, co proponuje dyrektor, pozostawia wiele do życzenia. Do proponowanej przez niego spółki weszłyby tylko trzy najlepsze wydziały. A co z pozostałymi czternastoma? Czy zachodni wspólnik

że nikt, oprócz obu organizacji związkowych, rady pracowniczej i dyrekcji, nie ma prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy fabryki. Partia niech sobie rządzi w Komitecie Miejskim. Tu nikt jej nie chce. Narządzili się przez czterdzieści lat z górą i dosyć.

Dyrektor Żarkowski krzyczał, że „Solidarność” godzi w konstytucyjnie zagwarantowany ustroj, że cała sprawa pachnie prokuratorem. Ale po dwugodzinym strajku całej załogi ustąpił. Teraz jak naczelnik chce rozmawiać, to tylko ze związkami. Bez partyjnych doradców.

W czerwcu wystosowali wniosek o wotum nieufności dla rady pracowniczej, która — ich zdaniem — składa

# TYGIEL W KRAŚNICKICH

deszli z fabryki lub wyjechali na Zachód?

— Kiedyś dyrektor Żarkowski powiedział przez radiowęzeł, że odda pięciu inżynierów za jednego robotnika — dodaje przewodniczący. — Po tym oświadczeniu kilku z nich zwolniono się z pracy. Czy tak mówi człowiek, który myśli o rozwoju przedsiębiorstwa? Przecież na Zachodzie dobry konstruktor obrabiarki traktowany jest niemal jak udzielny książę. Tam każdy dyrektor doskonale zdaje sobie sprawę, że postępek do elektronika i automatyka, bez których przemysł wcześniej czy później stanie w miejscu. W 1981 roku, przed wprowadzeniem stanu wojennego, w naszym OBR pracowało 13 automatyków. Teraz pozostało ich 3. W Poznaniu, Sosnowcu i Kielcach nadal funkcjonują takie ośrodki, który u nas zlikwidowano tylko dlatego, że takie było widzimisię dyrektora.

zechce w takim układzie wyłożyć na ich modernizację zielone? Wątpliwe.

Znaków zapytania jest znacznie więcej. Choćby sprawa udziałów kadry kierowniczej w spółce czy wycena majątku FŁT. Kto zagwarantuje, że na przykład dyrektor Żarkowski jako prywatny udziałowiec będzie dbał o interes całej fabryki? Nikt. I nikt nawet w najgorętsze zapewnienia naczelnego nie wierzy.

Oczywiście, są to na razie ich przypuszczenia i domysły, ale na wszystko chcą być przygotowani.

Szef zakładowej „Solidarności” mówi, że zaczęli w marcu od likwidacji tak zwanych kolektywów wydziałowych. W ich skład, oprócz związków zawodowych i kierownictwa, wchodziły różne organizacje polityczne i społeczne (m.in. PZPR, ZSMP). W oparciu o ustawy o związkach zawodowych, samorządzie załogi i przedsiębiorstwie państwowym, oświadczyli dyrektorowi,

się z osób całkowicie uległych dyrektorowi. Jej działalność ogranicza się do akceptowania jego zarządzeń. Specjalnie powołana komisja przeprowadzi referendum w fabryce. Jeżeli większość opowie się za odwołaniem starej rady, słysząc na koniec naszej rozmowy, to w późniejszym terminie będą rozliczać dyrektora z dotychczasowych poczynań.

Zbliży się godzina czternasta. Pierwsza zmiana niedługo kończy pracę. Chcę jeszcze porozmawiać z ludźmi „na produkcji”.

Łoskot maszyn tak świdruje w uszach, że dopiero po chwili rozróżniam pojedyncze głosy.

Mówią robotnicy: — Po mojemu, to taka spółka nie dobrego zakładowi nie przyniesie. Dyrektor mówił o dwóch czy trzech wydziałach, a pozostałe? Na śmietnik? Część ludzi przejdzie do spółki działającej w fabryce. Niby miejsce pracy



w stylu rokoka i ambony w kształcie łodzi. W ten sposób do dziś (!) wnętrze kościoła nie zostało dokończony.

Jakże więc piękne musi być to, co jest, że wystarcza na zgodne zachwyty znawców: oto wspaniały przykład rozwoju architektury baroku, syntezy plastyki i monumentalnego malarstwa. Wnętrze kościoła zdołało dwa tysiące płaskorzeźb i rzeźb tak dynamicznych, że sprawiają złudzenie ruchu. Zachwyca pyszność rzeźbiarskiego wystroju, niepowtarzalne rozwiązania kompozycyjne, gra światła i cienia, no i wspaniały żyrandol w kształcie łodzi żaglowej i...

... tak już zostało. Służyły potem wojsku polskiemu, a obecnie Wileńskiej Wyższej Szkole Oficerskiej

Schodzimy z kościelnych obłoków na ziemię. Skaczą z kamienia na kamień rozkopanej ulicy Gorkiego, która nie jest ulicą Gorkiego (powróciła do dawnych nazw: Zamkowa — Wielka — Ostrobramska).

— Tu stoją najstarsze domy Wilna, XV- i XVI-wieczne, zwieńczone słynnymi polskimi attykami. Nowa architektura bardzo delikatnie wpisuje się w Stare Miasto... — widać litewskie porządkie Rosjanka, którą przysłała aż

# OSTRĄ BRAMĄ FELIKSEM

wej, arka z kryształu górskiego — dar Wenecjan na konsekrację kościoła w roku 1801.

Fundator, Michał Kazimierz Pac, został pochowany obok wejścia do kościoła. Zgodnie z jego wolą, na płycie nie wyryto nazwiska ani tytułów, jedynie łaciński napis: „Hic iacet peccator” („Tu leży grzesznik”). I oto w końcu XVIII w. (M.K. Pac zmarł w 1682 roku) piorun strzaskał tę płytę nagrobną. Sklejono ją i wmurowano w ścianę, wewnątrz świątyni.

W kościele św. Piotra i Pawła co krótko do jakas tajemnica. Na przykład — dwa wielkie kotły miedziane, zdołoby jakoby przez hetmana M.K. Paca w bitwie pod Chocimiem. Ale czy na pewno? Albo te mury obronne, otaczające kościół. Było to kiedyś wielkie odłudzie poród antokolskiego boru, daleko za Wilnem. Kościół zabezpieczono więc przed rabusiami murem, zgodnie z wszelkimi regulami budowania zamków warownych: na czterech rozach są baszty, wykorzystywane jako kaplice, a od tyłu kościół połączono krużgankiem z byłym klasztorem. Zabudowania klasztorne rząd rosyjski skonfiskował ongiś na kosza-

z Moskwy, by w Wilnie tłumaczyła z polskiego i na polski... Jest rok 1987. (Przebudowę widać i w tej dziedzinie, bowiem w roku 1989 organizatorem mojego pobytu udało się już znaleźć tłumaczkę w Wilnie, Polkę, nauczycielkę dorabiającą sobie w Związku Pisarzy Litewskiej SRR...)

No więc skaczymy sobie z kamienia na kamień, z głowami zadartymi w architektoniczne niebo. Brukowanym podjazdem zbliżamy się powoli do katedry św. Trójcy, zbudowanej w 1514 roku przez Konstantego Ostrogskiego, a w 1608 przekazanej przez Zygmunta III unickim Bazylianom. Cień Mickiewicza znów zakrywa horyzont...

JEDZIEMY na południowy wschód od wileńskiej Starówki, coraz wyżej. Wreszcie wolga zatrzymuje się przed omentarnym murem i zaczyna milczeć... My też. Rossa. Bardzo stary (1769 r.), pięknie i powańsko rozłożony na rozległym wzgórzu omentarz. Skarpy porośnięte struchlałymi, zaniedbanymi grobami. Do wielu z nich trzeba wdrapywać się pod górke po popękanych i zachwaszczonych schodkach. Polamane krzywe już z daleka wołają o pomstę do nieba...

pozostanie to samo, ale pracodawca już będzie inny. W efekcie za tę samą lub podobną robotę dostaną kilka razy więcej pieniędzy, niż ci, którzy nie zalażą się do tego dolarowego eldorado. Do d... z takim interesem.

— Osiem lat dyrektor z za biurka nie wychodził, a teraz lata po wydziałach i wiecie, rozumiecie do ludzi mówi. Nauczyciel się znalazł. Ekonomicznie będzie nas uświadamiał, jakbyśmy sami nie wiedzieli, że jest nie najlepiej.

— Najpierw trzeba by czerwonych na cztery wiatry przepędzić. Rządzili, jak chcieli, to mamy, czego nie chcemy. Przewodnią rolę sobie wymyślili,

60 proc. załogi opowiedziało się za odwołaniem dotychczasowej rady pracowniczej. W październiku będzie nowa. Na razie, czynią przygotowania do wyborów.

Przewodniczącego „Solidarności” nie zastałem. Pojechał do Lublina do zarządu regionu. Jego zastępca, Aleksander Król, rozmawia telefonicznie z dyrektorem Żarkowskim. Jeden z kierowników zwolnił dyscyplinarnie członka związku. Chcą wiedzieć, na jakiej podstawie. Czy czasami znowu nie działają mechanizmy stanu wojennego.

— Po 13 grudnia 1981 roku zwolnili ponad setkę osób — mówi Król. —

# „ŁOŻYSKACH”

a teraz lamentują, jak się ich z zakładu wyrzuci. A kto temu winien, że wszystko, co złego było, ludzie PZPR przypisują? Teraz jak bida, to do Żyda, i jeszcze na cztery nogi chcieliby spaść.

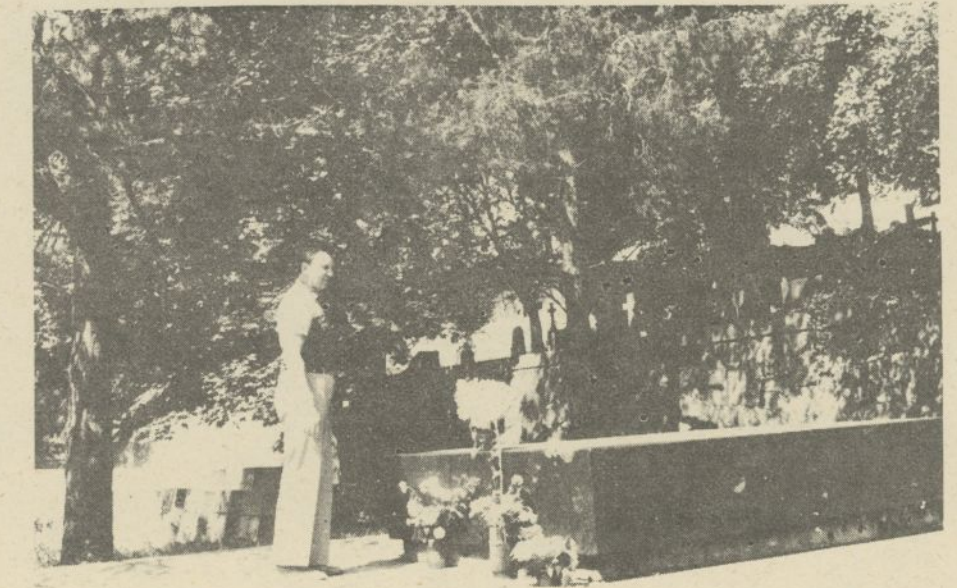
— Mnie to wszystko jedno. Spółka nie spółka, byle nam się lepiej żyło. Łączmy się i z diabłem, jeżeli to ma przynieść korzyści. Tylko nie gadać. Robić. Bo z pustego i Salomon nie naleje. Wszystkim marza się duże pieniądze i lekka praca. Może u tego kapitalisty byłby wreszcie porządek.

Trzy tygodnie później przyjechałem ponownie do Fabryki Łożysk Toczyńskich. Było już po referendum. Prawie

Wtedy nikt się za nimi nie mógł wstać. Wprawdzie część z nich później przyjęto, ale bez zaliczenia wcześniejszego okresu pracy. Ile stracili finansowo, łatwo policzyć. Wielu było takich, którzy przed osiemdziesiątym pierwszym i po dziesięć lat pracowali. Żeby ich bardziej upokorzyć, kazano nawet kurs BHP jeszcze raz zaliczać. Brygadziście z dwunastoletnim stażem, suwmiarki nie wolno było do ręki wziąć, bo zatrudniony był jak nowicjusz przyuczający się do zawodu. A upomniał się ktoś o stracone lata, to mówili: „Proszę bardzo, tylko do OPZZ się zapisz”...

— Mówiąc wprost — przerywam Królowi — szantaż.

— U nas to była normalka. Jeszcze do końca 1988 roku, jak ktoś chciał mieszkanie z zakładowej spółdzielni, to nie inaczej jak z legitymacją OPZZ w



Tu spoczywa Matka i Serce Syna

Fot. Danuta Rynkiewicz

Ale najpierw — kontemplacja Płyty, której specjalnie szukać nie trzeba, bo ściera wzrok, zanim się zdąży przekroczyć omentarne ogrodzenie. Na lewo od głównego wejścia jest taki przedemtarz jakby, rzędy wojskowych mogiłek, miejsce spoczynku żołnierzy i oficerów poległych przy zdobywaniu Wilna w kwietniu 1919 roku, oraz tych, którzy zginęli przy szturmowaniu Wilna przez wojska gen. Żeligowskiego w październiku 1920 roku. Większość tych mogił to już tylko słabo widoczne pagórkopokryte murawy.

Wśród nich, jak pałac pośród lepiank, wyróżnia się ogromna płyta z wolińskiego ciemnego granitu. Na płycie wielki napis: MATKA I SERCE SYNA. Płoną znicze. I są kwiaty, wiązanki białoczerwonych goździków, przeważnie po dwa. To znak, że kładli je miejscowi. Bo tutaj, jak na Zachodzie, kwiaty daje się parzyć. Podobno każdy Polak z Polski tu pokłoni się przychodzi. Być może, ale dla czego nieparzystych kwiatów jest znacznie mniej niż autokarów z polską reiestracją? Zresztą, nie bądźmy drobiazgowi; kwiaty w Wilnie drogie, droższe niż w Polsce... Ważne, że są. Z dnia na dzień przybywa ich na płycie i nie znikają nocą, nikt nie wyrzuca już świeżych kwiatów na pobl-

ski śmietnik. Pomiędzy kwiatami przesiadają wyryte w granicie strofy z „Beniowskiego”. U góry:

Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą

Za innych śladem iść tą samą drogą i u dołu:

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu

Gniazdo na skałach orla, niechaj umie spać, gdy żrenice czerwone od gromu I słysząc jęk szatanów w sosen szumie.

Tak żyłem...

(Wertowałem później „Dziela” J. Słowackiego. Dolne strofy odnalazłem w treści „Beniowskiego”. Na ślad górnych, niestety, nie udało mi się trafić...)

Stoję przed grobowcem i podziwiam odporność kamienia. Granit jest polupany kulami. Ale przy całym impecie antypolskim grób przecież ocalał. I mogli legionistów też.

— Widocznie to tak znana postać, że nawet nie napisano, o kogo chodzi... — filozofuje 12-letni Łukasz, syn zaprzyjaźnionego polsko-litewskiego małżeństwa, od 10 lat osiadłego w Wilnie.

— Panie, ja powiem, czemu ta płyta ocalała... — wtrąca się stara kobiecina — jak przypuszczam — pra-

Dokończenie na str. 9

kieszeni. Proszę, tu są dokumenty. Czarno na białym.

Wyciąga z szuflady skoroszyt z plikiem pism i wyciąga odpowiedni dokument. „28 czerwca 1986 rok. [...] Kryteria, które będą decydować o umieszczeniu na liście propozycji przydziału mieszkań. — Podpunkt czwarty — nienaganna opinia społeczno-zawodowa oraz przynależność do związku zawodowego”.

— Wtedy, jak wiadomo, istniał jawnie tylko jeden — dodaje Aleksander Król. — Nie ma więc wątpliwości, o jaki związek tu chodzi.

W zakładowym biurze NSZZ Pracowników FŁT rozmawiam z jego przewodniczącym, Kazimierzem Mazurkiewiczem.

O planowanej spółce wie niewiele. Tyle, co wszyscy w fabryce. Za to o obecnej dyrekcji złego słowa nie może powiedzieć. Na poziomie jest. Bo i wydajność wzrosła, i trzynaście osrodków wczasowe w budowaniu. Jest ambulatorium, a dobry pracownik otrzymuje mieszkanie po 3—5 latach.

A partia?

— OPZZ nie interesuje polityka — twierdzi stanowczo przewodniczący. — Jesteśmy czystym związkiem zawodowym.

— A obowiązkowa przynależność do związku? — przypominam treść pisma, które widziałem w zakładowej „Solidarności”.

— No tak. To był rzeczywiście błąd polityczny. Ale odcięliśmy się od tego i złożyliśmy samokrytykę. Dzisiaj uważamy, że żadna partia nie powinna decydować o sprawach zakładu. Kolektyw? Z nimi czy bez nich, co za różnica. Nam jest obojętne, czym PZPR

będzie się w fabryce zajmować. Byleby nie przeszkadzała. Dopóki jednak komitet zakładowy istnieje, trzeba z partią rozmawiać. Zresztą sami niedługo się rozwiążą. Pierwszy i drugi sekretarz złożyli już podania o zwolnienie z zajmowanych stanowisk.

W partyjnych pokojach niczego się nie dowiedziałem. Sekretarze nabrali wody w usta. Oczekują na ustawę sejmową i stanowisko KC PZPR w sprawie działalności partii w zakładach pracy. O spółce nic oficjalnie nie wiedzą. Nie mogą więc wypowiadać się na ten temat. Zapraszają na rozmowę, jak sytuacja się wyklaruje. Teraz nie pora jeszcze na dyskusje — twierdzą.

Dyrektora Żarkowskiego odwiedziłem ponownie. Tym razem był nieco rozmowniejszy. Nie zaprzeczał już, że istnieją plany zorganizowania spółki. Nie chciał wcześniej o tym mówić, bo wszystko jest jeszcze w fazie luźnych projektów. Ale skoro już wiem... Szczegółów jednak nie zdradził, zasłaniając się dobrem całego przedsięwzięcia. Potwierdził tylko, że pod uwagę mogą być brane jedynie wydziały igielkowy i kulkowy. Może jeszcze narzędziownia, bo reszta, jak twierdzi dyrektor, to dno. Skarżył się, że ludzie nie rozumieją prostych prawd ekonomicznych i mechanizmów zarządzania takim przedsiębiorstwem jak FŁT. A Ośrodek Badawczo-Rozwojowy zlikwidowano, bo nie było widać skutków jego działalności. Fabryce potrzebna jest seryjna produkcja nowych maszyn, a nie pojedyncze egzemplarze, które wytwarzała OBR. W obecnej sytuacji i tak by się nie utrzymali.

Do partii dyrektor Żarkowski ma dzisiaj stosunek negatywny. Uważa, że zakłady produkcyjne trzeba odpolitycznić, a działalność PZPR przenieść w teren.

Zbigniew Dzięciołek



# PRZETARG

## Henryk Sienko

**Z** ROKU na rok maszyn przeznaczonych dla rolników indywidualnych z tzw. sieci handlowej jest coraz mniej i są coraz droższe. Chłopi szukają więc innych możliwości. Możliwości są dwie: kupno z ogłoszenia lub w drodze przetargu od ugrupowanych zakładów pracy.

Jest koniec 1988 roku. Przez kilka tygodni uważnie studiuję ogłoszenia prasowe, wybieram przypadkowo, zachowując jednak pewien geograficzny klucz.

### Przetarg I — SKR Hrubieszów (woj. zamojskie)

Jadę tam ze stryjem, który od paru miesięcy „gania” po kraju za opryskiwaczem. Wśród oferowanego do sprzedaży sprzętu są m.in. kopaczki, ciągniki, opryskiwacze, sadzarki do ziemniaków, beczki na wodę i plugi.

— Jaki jest stan tych maszyn? — rzucam między ludzi.

— Człowieku, co tu oceniać, idź, zobacz. — Drżące ręce starszego mężczyzny sięgają po napoczętą paczkę „popularnych”. — No idź chłopie, zobacz! Sam kierownik warsztatów powiedział, że z czterech zrobił trzy, a to, co zostało — wystawił do licytacji!

— Zadna część nie nadaje się do użytku — młody chłopak wydaje się być znawcą przedmiotu. — Pompy nawet do regenerowania nie przyjmą, jednej lancy brak, druga pogięta i zar-

dzewiała, tylko zaczep do ciągnika w miarę dobry.

Zaczep? (ogólny śmiech). Można go zrobić w dwie godziny z bryki żelaza.

Głos wywalczył wreszcie kierowca beżowego fiata.

— „Toto” wszystko, cholera, jakiś ekspert wycenił na 70 tys. złotych — rzucił z oburzeniem.

— Zostanie „toto” sprzedane?

— Pewnie, że tak. Chłop kupi i złom, bo przecież jak nie zda starej pompy, to nie kupi nowej. Podobnie z beczkami i lancami — kierowca fiata zaczyna tłumaczyć zawilosci manipulacji.

— Zeby kupić nowe i złożyć, w pierw trzeba zdobyć stare i oddać za darmo!

Śmiech, Gorzki. Niektórzy zaczynają psiożyć na rząd, na ustrój i chłopską dolę, by wreszcie strzelić we mnie:

— Panie, o czym tu gadać, spytaj pan lepiej.

Stryj wrócił z oględzin, machnął zrezygnowany ręką. Ledzą przygląda się mojej „robocie”, uśmiecha pod wąsem... „Nie takie to proste, gadać z chłopami” — myśli pewnie, choć wie, że też rolnik.

Gram dalej:

— Przecież możecie zbojkotować ten przetarg.

Czerwony ze złości rolnik, o maszynach raczej tuszy i rozjuszona minie, odpowiedział mniej groźnie, niż wyglądał:

— Musielibyśmy zbojkotować i naszą ziemię, i cały swój dorobek, i

dzieci... Człowieku, pieprzysz dyrdymaly!

Ostatnie papierosy lądują pod butami dyskutantów. W kierunku świetlicy zbliżają się gospodarze przetargu, punktualnie o dziesiątej otwierają salę.

Po kilku minutach trwania tej swojej giełdy, wiem już, w co się tu gra. Negowanie wartości maszyn, utyskiwania i zlorzeczenia to strategia: zniechęcić do zakupu potencjalnego rywal, zachwiać jego pewnością, zasiać niepokój, spowodować niezdecydowanie. Ci, którzy przed chwilą najgłośniej krzyčili, teraz pierwsi licytują. Technika walki jest różna. Jedni przebijają ostro, po kilkanaście tysięcy, inni tylko o sto złotych. Jest tu coś z widowiska, giełdy, coś z teatru, emocjonującego zawodów sportowych.

I przykra refleksja: przecież w tej walce zwycięzca przegrywa!

Stryjowi wąsy opadły, dziś też nie zdobył opryskiwacza. Opryskiwacz „poszedł” za 190 tys. Tego dnia emocje skupiły się właśnie wokół opryskiwaczy. W korytarzu już luźniej, napięcie opadło.

— No i jak, zadowoleni z zakupu?

Jan Witkowski ze Stężycy (gospodarz na 10 ha):

— Noo, będzie się robić, ale trzeba będzie jeszcze dolożyć ze sto...

Kierowca beżowego fiata podsumował krótko:

— Granda i tyle, panie, żeby taki złom ludziom sprzedawać! To jest normalnie gangsterstwo!

### Przetarg II — SKR Rybczewice (woj. lubelskie)

Stryj stracił już wiarę w to, że zdobędzie opryskiwacz. Jadę sam. Wokół SKR-owskiego placu mrowie samochodów z najróżniejszymi rejestracjami, są nawet dwa mercedesy i jedno audi. Bez trudu rozpoznaję, kto jest rolnikiem, kto ogrodnikiem. Ci ostatni zwykle palą wiarusy, nieszalanco-

trzymając na rzymkach wypchane saszetki. Ubrani w modne, skórzane kurtki. Właśnie po tych „mundurkach” najłatwiej jest poznać ogrodnika. Jeszcze raz zerkam do ogłoszenia w „Sztandarze Ludu”. Po chwili wiem, po co przyjechali badylarze spod Tarnobrzega.

Mnie przywiódł tu kombajn „Bizon”. Chcę przyrzec się walce o to, tak poszukiwane na wsi, cacko. Na placu tłum szczerłym pierścieniem otacza dwa ciągniki.

— Jaki jest ich stan? — powtarzam pytanie zadane już w Hrubieszowie.

— Dwie kupy złomu i tyle. Złomu na kółkach! — odpowiada taki starszy w skórzanym kapeluszu. Ten kapelusz mnie zaintrygował. Pewnie badylarski notabl, pomyślałem i ciągnę faceta za język.

— A co pana obchodzi moje nazwisko? — odpięra ostro. — Znamy takich...

Ale badylarz w bawarskim kapeluszu bez piórka nie ucina wymiany zdań.

— Zeby ich wyremontować, trzeba wymienić 90 procent. Wszystkiego! — wycenia wartość ciągników.

Oba traktory, sprzężone ze sobą metalowym dyszlem, wyglądają jak żelazne atrapy na gumowych kołach. Podkręcane części i podzespoły, pogięte błotniki i osie, popękane bloki. Wśród przekrzykującego się tłumu: „Jeżeli ktoś TOTO kupi, stracę wiarę w chłopski rozum”.

— Ależ panie, jak to można tak zniszczyć, to trzeba siły i nie lada głowy — mocno starszy rolnik pokazuje powiązane sznurkiem błotniki, pogięte elementy podnośnika.

— Ile po waszemu powinny one kosztować?

— Tyle ile złom, normalnie. Na kilogramy powinno się sprzedawać. Przecież tu nawet opony są pocięte! — Spróbowałem unieść maskę, ale zaraz opadł jeden błotnik.

### Dokończenie ze str. 1

Widać to nie tylko na polach. Najpierw same wioski: drewniane, jakby mniejsze, bardziej osadzone w ziemi, przycupnięte w krajobrazie. Widuje się strzechy. Gdzieś tam miga opuszczone gospodarstwo: okna bez firanek lub zabite deskami, zarosnięte po pas podwórko, albo stodoła z rozwartymi na oścież wrotami. To wszystko zdradza, że brakuje gospodarza. Słowem, wieś podlaska jawi się jakby mniej ucywilizowana, mniej uprzemysłowiona, a to jest wynikiem mniejszej zasobności finansowej.

Bo rolnik, kiedy ma pieniądze, buduje się, buduje i jeszcze raz buduje. Kupuje traktory i kombajny, dba o tak zwaną estetykę, a przed jego domem parkuje zwykle samochód. Tego na Podlasiu jest wyraźnie mniej niż w okolicach Kraśnika, co podpowiada, że jest tutaj po prostu biedniej.

Ale nie wiem, dlaczego na tych gorszych ziemiach mniej jest także sadów, mniej tytoniu, mniej plantacji porzeczki i w ogóle mniej monokultury, która w polskich warunkach zapewnia duży dopływ pieniądza. Bo przecież monokulturą jest także tucz świń i hodowla mlecznych krów. Ale ferm, które nastawiły się na hodowlę, widać szosy mało. Trzy przed Radzyniem, jedna przed Międzyrzeczem. To nie są te długie, białe, niskie budynki z małymi okienkami, widziane co i rusz pod Lublinem i Kraśnikiem.

**D**ZIESIĘĆ kilometrów za Radzyniem Podlaskim zatrzymuję się w dużej wsi, wyglądającej czysto i zasobnie. To Zakowola, wieś długa, zw. ulicówka, zabudowana gęsto po obu stronach szosy. Strzech nie widzę, za to sporo nowych domów z cegły i ładne ogrody ze starym drzewostanem. Rozglądam się za gospodarstwem, o którym można by powiedzieć, że prowadzone jest wedle zasad zdrowej ekonomii. Ale, po raz pierwszy w tej wędrowce po wsiach, intuicja mnie myli.

Pan Jan K. (nie życzy sobie, aby podawać w druku jego nazwisko) okazuje się chłopo-robotnikiem na trzech hektarach marnej ziemi. Tę ziemię uprawia tylko na własne potrzeby, ma jedynie nadwyżki zboża i kartofli. Krowa — jedna, aby było mleko i serek. Świnek — rocznie pięć, aby nie wystawać w kolejkach. Do te-

go trochę kur „na niedzielny rosół”. A więc dlatego tak czysto i porządkownie w tym obejściu, bo nie wyjeżdża się stąd codziennie na pole.

Z tego, co mówi pan Jan, wyławiam kolejne niedomagania polskiego gospodarstwa wiejskiego. Mój rozmówca wynajął się do pracy państwowej w połowie lat siedemdziesiątych. Szybko minęła gierkowska koniunktura na sensowne gospodarowanie. Takie wahania odczuwa najszybciej wieś, ponieważ weszła w „socjalistyczny” zryczaj, że kosztem kryzysu ogólnospodarczego obciąża się najpierw — tak: najpierw! — rolnictwo. Widocznie z miastowej perspektywy chłop przetrzyma wszystko, więc do tego worka, który i tak codziennie dźwiga na plecach, dokłada mu się nowe ciężary.

Tak właśnie zaczęło się dziać w roku 1975 (na rok przed kryzysem radomskim) i pan Jan K. poszedł „na państwowe”. Sprzedał prawie za darmo trzy hektary (ziemia i łąka), szczęśliwy, że znalazł się kupiec, i wynajął się jako niewykwalifikowany. Mówi, że od razu poczuł się lżejszy. Po pierwsze, uwolnił się od codziennej, upokarzającej mordęgi w urzędach, punktach skupu i sklepach z narzędziami. Z dnia na dzień przestało to go dotyczyć i stał się od razu „wolnym człowiekiem”. Po drugie i to też było ważne w sytuacji, gdy nie miał nikogo, kto przejąłby po nim gospodarstwo — emerytura, czyli zabezpieczenie na starość. To, co proponowało rolnikom państwo, było nie do przyjęcia, albo — powiedzmy — do przyjęcia tylko przez desperatów. Było tak, że ludzie, którzy harowali przez całe życie i na koniec oddali ziemię państwu, nie mogli się utrzymać bez pomocy dzieci, które osiedliły się w mieście.

Pan K. mówi, że obrażało go to tak bardzo, iż postanowił zapracować na emeryturę w mieście. Dostał posadę nocnego stróża. Teren do pilnowania ma spory, ale szybko zorientował się, że wystarczy czujny i niestrachliwy pies, aby mógł przespacerować spokojnie całą noc. I śpi. Albo czasami, kiedy jest taka potrzeba, na państwowych maszynach i z państwowego materiału robi coś, co przyda się w gospodarstwie.

Pytam pana Jana K. o sprawę podstawową. Co byłoby potrzebne wtedy, w roku 1975, aby nie sprzedawać ziemi, ale przeciwnie: dokupić i stwo-

żyć wielkotowarowe gospodarstwo produkcyjne. Odpowiedź jest zadziwiająco prosta: „To musiałoby się opłacać”.

**T**RZY hektary, uprawiane tylko „na własne potrzeby”, to jest marnowanie ziemi. W kraju mamy przeszło milion chłopo-robotników. Ile zatem marnuje się ziemi? Co najmniej — policzmy skromnie — milion hektarów. Ile to byłoby żywności? Gdyby tę ziemię uprawiać intensywnie, mielibyśmy o 15 milionów kwintali zboża i o 500 000 świń więcej, a to oznacza 50 tysięcy ton mięsa więcej rocznie. Można to przeliczyć na mleko, mięso wołowe, skóry, olej i cukier. I jakby liczyć, zawsze

okazuje się, że ta ziemia jest marnowana, bo daje zaledwie połowę tego, co dałaby przy właściwej uprawie.

Jaką zatem państwo miało korzyść z chłopo-robotników? Państwo „socjalistyczne”, bo ono ich stworzyło, ma armię dodatkowych robotników, którzy się „nie wychylają” i których łatwo utrzymać na bacznosc. To był niezły interes: posłuszni ludzie do roboty i jednocześnie propagandowy atut, że prywatne rolnictwo jest do niczego. Bo przy takiej polityce musiało być do niczego.

Co zaś miało z takiego rolnictwa społeczeństwo? Społeczeństwo musiało część swojej pracy przeznaczyć na kosztowny import amerykańskiego zboża. To był kompletny nonsens: kupować zagraniczną pszenicę, zamiast włożyć te pieniądze w krajowe gospodarstwo. Nonsens? Raczej przemysłowe działanie, zmierzające do zrujnowania prywatnego chłopca, zawłaszczenia jego ziemi i utworzenia na wsi tzw. socjalistycznego sektora produkcji. Koszty tego eksperymentu płacimy dzisiaj wszyscy.

Czy po roku 1981 polityka państwa wobec wsi była lepsza? Zajrzyjmy do statystyk, które nie wszystko mogą za fałszować. Produkcja mleka (globalnie) z jednego hektara — zmalała. Produkcja mięsa wieprzowego — zmalała. Pogłowie loch — zmalało. Pogłowie krów (liczone w procentach) — zmalało. W ogóle pogłowie wszy-

stkich zwierząt gospodarskich na wsi zmalało o prawie 20 procent w porównaniu z rokiem 1975, a o kilka procent, licząc na jeden hektar użytków rolnych.

Toteż porzucanie ziemi i spadek produkcji — to była jedyna możliwa odpowiedź polskiego chłopca na politykę państwa wobec wsi. I to jest jedyna odpowiedź na pytanie, dlaczego dzisiaj nie mamy co włożyć do garnka.

**P**OTWIERDZENIE tej mojej prywatnej opinii znajduję rychło w białokopodlaskim Urzędzie Wojewódzkim, wybudowanym — nomen omen! — na terenie unicestwionego ogrodu jordanowskiego. Tak bowiem w województwie rolniczym dbało się

# BOGACTWO

o ziemię i rośliny. Ale to na marginesie. Rozmawiamy bowiem o problemach dzisiejszych.

Wicewojewoda Stanisław Marczyk, którego wyciągnąłem z sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, uważa, że przyszłością tego województwa może być tylko rolnictwo. Skoro jednak do przyszłości daleko, rozmawiam z dyrektorem wojewódzkiego Wydziału Rolnictwa o dniu dzisiejszym. Pan Józef Sawicki opowiada, że rolnik, który jest na ostatnim miejscu w kolejce po traktor, opryskiwacz i prasę do zbierania słomy, dostanie sprzęt nie wcześniej, jak za 20 lat. Takie są bowiem przydziały.

Pytam: „Dostanie? Dostaje za darmo?”

— To jest pierwszy problem rolnictwa — odpowiada dyrektor Sawicki. — Gdyby chłop mógł od ręki kupić każdy potrzebny mu sprzęt, żywności mielibyśmy w bród. A może nawet — dodaje — byłby kłopot z eksportem.

Znajduję w tej rozmowie także inne opinie zasłyszane na wsi.

**INFLACJA.** To jest to, co uniemożliwia normalną, opłacalną wymianę handlową między wsią i miastem. Bo rolnik będzie produkował więcej i będzie tę produkcję przywoził do miast (a gdzie ją może sprzedać, jak nie w mieście?), jeżeli będzie to mu się opłacało.

Zaś po drugie: żywności będzie dostatek, jeżeli przestanie się ona mar-



Gromada ryknęła śmiechem. Jeszcze pół godziny do rozpoczęcia licytacji. Podchodzę do oglądających kombajn.

— Ile ma lat?  
— Mówią, że 10, że silnik nowy, ale nie na chodzie. To wszystko pic!  
— Jaka cena?  
— Trzy i pół balona!!!  
— No właśnie, pójdzie za pięć. Nowy dostaną za pięć i pół, a ty chłopcze morduj się z tym. Jeździj po całym kraju za częściami, przepłacaj.  
— Ludzie mają forse, pójdzie. Na bank pójdzie.

### Licytacja

Wiary w chłopski rozum nie straciłem. Oba ciągniki, wycenione na 850 i 900 tys., nie znajdują nabywców. Natomiast jak woda idą beczki na... wodę. Pogięte, skorodowane, podziurawione, bez zaworów, ze stopniem zużycia 70—80 proc. i ceną wywoławczą 7—8 tys. — są sprzedawane po 50—60—70 tys.

Rolniczka o tegiej posturze i różowych licach, z drągowatym mężem przy boku, którą kilka tygodni wcześniej poznałem w Hrubieszowie (ok. 110 km od Rybczewic) i tym razem beczki nie zdobyła.

„Bizon” licytowany jest następująco: 3,5 mln — cena wywoławcza, maksymalne przebiecie 10 proc. (w zaokrągleniu — 50 tys.): 3,6 mln, 3,650 — 3,7 — 3,8 — 4 mln, 4,150 — 4,2 — 4,3 — 4,350 — 4,4 — 4,450! Sprzedany za 4 mln 450 tys. Zakupił miejscowy rolnik.

Po zakończeniu widowiska zapytałem chłopów, co sądzą o takim sposobie zbytu maszyn przez SKR.

— Oszustwo! I to w majestacie prawa! — pierwszy mówi ogrodnik, który sam wylicytował trzy beczki. — Po wiem więcej, to największe oszustwo w dziejach naszego ludowego państwa. Mogę się pod tymi słowami podpisać. Czytelnie.

— Nie trzeba.  
— Bo i tak pan nic nie zdasz — machnął ręką. — Jeździcie, pytacie, tłuczecie w gazetach i radiu i co z tego wynika? Słuchają was tyle co i nas!!!

— Kurna, czy my tymi traktorami albo kombajnami pojedziemy na wczasy, na handel do Turcji? — Marek Dudziński jest młodym rolnikiem, gospodarzuje z rodzicami na 12 hektarach. — Te, co nie produkują, mają wszystko: i samochody, i kible w chalu-pach, i łazienki w daczach, i kolorowe kino w domu. My wszystko, co uciulamy, wkładamy w podatki, maszyny, żeby se ulżyć. Nawozy, pasze, a i do wodociągu trza dołożyć, i gazociąg opłacić, i budowę szkół wesprzeć społecznie...

### SKR — Bełżyce (woj. lubelskie)

Do gabinetu prezesa pukam dwa dni po przetargu. Dowiaduję się, że ośmioletni „Bizon” sprawny i na chodzie, został sprzedany za 2 miliony 800 tysięcy.

— W tych stronach rolnictwo i jego usprzętowanie stoi na dosyć wysokim poziomie — stwierdza szef firmy. — Musieliśmy nawet wprowadzić konkurencyjne ceny na usługi.

— Niech mi pan powie: dlaczego sprzedajecie maszyny? Przecież macie warsztaty, o części wam też łatwiej, a chłop będzie się musiał z tym nazięrać.

— U nas na przykład taki kombajn pracuje w żniwa 360 godzin, u rolnika indywidualnego około 50—60 godzin, czyli można przyjąć, że nasz w ciągu roku zrobi tyle, ile w gospodarstwie rolnika w ciągu lat siedmiu. Dlatego lepiej sprzedać i kupić nowy, niż bez przerwy remontować. A ten sprzedany chłopu będzie mu jeszcze długo służył.

— Dużo w tym logiki, przynajmniej, ale dlaczego nie traktuje się jednakowo wszystkich pracujących na wsi? Kom-

bajny sprzedaje się jeszcze jakie takie, ale wiele maszyn powinno się roz-dawać za darmo.

— Na pewno tak — tym razem urzędnik zgodził się ze mną. — Stworzono przepisy, które pozwalają sprzedawać nawet złom. Mało, że pozwalają; nakazują! Kiedyś to kasowano i zbywano za grosze, chłop kupował i robił z takiego złomu użytek. Teraz jest to niemożliwe.

### WZRKiOR — Lublin

Specjalista, Krzysztof Tokarczyk:

— Nie ingerujemy w działalność zarządów SKR. W ich skład wchodzi także rolnicy indywidualni, to oni decydują o tym, jaki sprzęt nadaje się do upłynnienia. My służymy jedynie pomocą w ocenie technicznej.

Wniosek? Chłopi sami siebie oszukują! Zgodnie z przepisami, ustawionymi kiedyś do góry nogami. Przez kogo? Gdyby ktoś wymusił na mnie odpowiedź, brzmiałaby: kogoś, kto w naszym rolnictwie uprawia sabotaż!

Lublin — styczeń 1989 r.

### MINĘŁO

#### DZIEWIĘĆ MIESIĘCY

#### Przetarg IV — SKR Michów (woj. lubelskie)

Do sprzedaży wystawiono dwa kombajny ziemniaczane, wyprodukowane 9—10 lat temu. Pierwszy osiąga cenę 9 mln zł, drugi 8 mln. Nowy kosztuje 5 mln 900 tys.

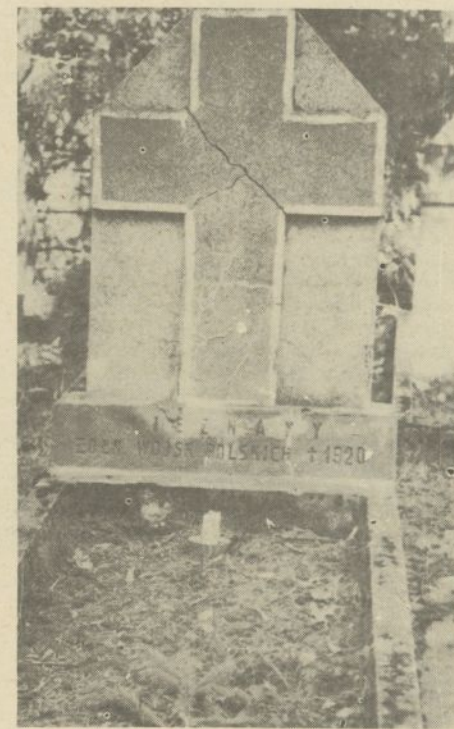
— Jak to jest z tą równością sektorów? — pytają chłopci. — Niech PGR i SKR stoja, jak my, w kolejkach i czekają na sprzęt. A tak grata sprzedali za 9 milionów, nowego kupią bez kolejki za sześć, jeszcze im zostanie...

#### Zamiast epilogu:

Tylko około 4 procent przemysłu pracuje na potrzeby rolnictwa. Dla porównania: w krajach wysoko rozwiniętych wskaźnik ten waha się pomiędzy 30 i 40 proc.

## MIĘDZY OSTRĄ BRAMĄ A OSTRYM FELIKSEM

Dokończenie ze str. 6—7



Jedna z wojskowych mogiłek  
Fot. Danuta Rynkiewicz

cownica cmentarza. — Kiedy jemu się zmarło, to brat jego postawił ten grobowiec. To było w trzydziestym piątym albo szóstym, musi jakoś tak. Brat jakby przewidział, że kiedyś to nazwisko może nie wszystkim się podobać, więc nazwiska na płycie nie dał. No i płyta ocalała. A ten kamień z nazwiskiem i baldachimem, co obok postawiony był, przepadł, panie, ot co!

Opowieść babci cmentarnej różni się od relacji Stanisława Lorentza, ówczesnego konserwatora zabytków. Wprawdzie w roku 1935 dr Stanisław Lorentz pożegnał się z Wilnem (przeniesiony do Warszawy na dyrektorskie stanowisko w Muzeum Narodowym, gdzie pracował do roku 1982), ale zobowiązał się do końca doprowadzić sprawę urzędzenia na Rossie grobowca dla krypty na trumnę matki marszałka Józefa Piłsudskiego i urnę z jego sercem. Trumnę ze szczątkami Marii z Billewiczów Piłsudskiej sprowadzono w lecie 1935 roku z grobów rodzinnych w Sugintach (Litwa Kowieńska). Kompozycją cmentarną i zaprojektowaniem grobowca zajął się prof. Wojciech Jastrzębowski, legionista, uczeń walk we Lwowie w 1918 i kampanii 1920 roku. 12 maja 1936 roku serce marszałka w srebrnej urnie złożono u stóp trumny matki, podczas uroczystości z udziałem prezydenta Mościckiego i innych osobistości.

Ponizej Płyty — groby AK-owców poległych w lipcu 1944 roku w czasie walk o Wilno. O innych żołnierzach już wspominałem. Czas pozacierał nazwiska i pseudonimy, tylko kilka można z trudem odczytać. Na prawo przed główną bramą cmentarną była kiedyś tablica pamiątkowa ku czci Polaków rozstrzelanych w Dyneburgu (maj 1919), wzniesiona w 10 rocznicę odzyskania niepodległości. Nie ma po niej śladu... Ciśnie mi się na usta fragment wiersza Kazimierza Wierzyńskiego pt. „Serce na Rossie”:

Uderz głośno pod płytą i wyjdź  
między ludzi,  
i niezbędne zakłęcie w tę noc straszną  
wymów.  
Niech nam się świat odnowi i w nim  
się obudzi  
serce wolnych Polaków i wolnych  
Litwinów...

(Koniec odcinka 3. — cdn.)

Henryk Makarski

nować. A na razie jest tak: kartofle wozą się stąd na przeróbkę do Stargardu Szczecińskiego (500 km), mięso do Siedlec (100 kilometrów), mleko — 70 kilometrów. Zatrzymajmy się przy mleku. Np. serwatka to znakomita pasza. Pasza — dodajmy — darmowa. Powinno być tak: na miejscu odciąga się z mleka tłuszcz i wiezie do mleczarni, a tam robią z tego masło, śmietanę i sery twarde. Na miejscu zostaje mleko odtłuszczone, z którego tanim kosztem i bardzo prostą technologią można wyrabiać mleko chude, sery twarogowe i serwatkę na paszę. Ponadto oszczędza się na transporcie, bo do mleczarni jedzie najbardziej istotny surowiec: tłuszcz nabiałowy.

## PODLASIA

Dlaczego jest jednak inaczej, to znaczy: drogo?

— Bo — znowu słyszę — taka była polityka państwa, bezsensowna, głupia, nie licząca prawdziwych kosztów. A że nie liczone kosztów, za wszystkie te nonsensy płaciliśmy wszyscy. Tak bowiem dzielono dochód narodowy, aby były dopłaty niezbędne do tego rodzaju deficytowej produkcji.

— Po trzecie — powiada dyrektor wydziału — zawiniła państwowa polityka inwestycyjna. Ładowano pieniądze w wielkie fabryki, kopalnie, huty, a skąpiono rolnictwu.

Odpowiadam, że ładowano także w fabrykę traktorów w Ursusie.

— Ale to była kompletna bzdura — twierdzi dyrektor Wydziału Rolnictwa. — „Ursus” jest dziesięć razy lepszy, dziesięć razy bardziej niezawodny, tańszy, łatwiejszy w obsłudze od „Fergusona”. Licencja, zamiast rozbudowa produkcji „Ursusa”, to było nieporozumienie i należy zbadać, kto miał w tym prywatny interes.

To samo powiedział mi wcześniej Jan Wójcicki spod Opola: «Nigdy nie oddałbym dwudziestoletniego „Ursusa” za nowego „Fergusona”».

**A**LE wracamy na Podlasie. Nonsensów wylicza dyrektor Sawicki więcej. Na przykład sprowadzanie gotowej żywności: serów, mięsa, masła i zboża, zamiast środków produkcji, i sprawa zasadnicza na

tw. „ścianie wschodniej”, gdzie wieś błyskawicznie się wyludnia. Konieczna jest preferencyjna polityka wobec rolników, którzy zaczynają od nowa. To jest duża grupa tych, którzy przejmują po rodzicach gospodarstwa mało dochodowe, to są także ci, którzy po studiach (najczęściej rolniczych, ogrodniczych i zootechnicznych) chcą wrócić na wiejskie gospodarstwo. Oni muszą mieć łatwiejsze i tańsze kredyty jako zachętę do gospodarowania. A także zwolnienie na parę lat od podatków.

Przypomnijmy staropolską tradycję: zbiegły chłop, osiedlający się na ukraińskich stepach, zwolniony był od pańszczyzny na całe dwadzieścia lat.

Dlaczego dawna Rzeczpospolita mogła być spichrzem Europy? Właśnie dlatego, że nie przeszkadzano rolnictwu. Niemcy, Francję, Anglię, Hiszpanię, Szwecję, Norwegię, Rosję — nawiedzały systematyczne plagi głodu. W historycznej Polsce wieków X—XIX zawsze było co jeść.

Białkopodlaskie chce się nastawić na produkcję żywności: kartofli, żyta i wieprzowiny. To jest prawdziwa przyszłość tej ziemi, gdzie istnieje dostatek wszystkiego, co sprzyja rolnictwu: dobre powietrze, ziemia orna, łąki i ludzie chętni do pracy. Na tle ogólnego biadolenia o kryzysie budzi zdziwienie, że do Urzędu Wojewódzkiego zgłasza się wiele osób, które — po studiach wyższych — chcą tutaj osiąść na roli.

— Nawet dzisiaj — mówi dyrektor Sawicki — rozmawiałem z magistrzem inżynierem po warszawskiej SGGW, który założy gospodarstwo pod warunkiem, że dostanie przydział na maszyny.

— I co mu pan odpowiedział? — pytam.

— Powiedziałem, że nic nie mogę w tej sprawie obiecać.

Jest fenomenem polskiego rolnictwa, że mimo tych przeciwności — rzucania kłód pod nogi, wyniszczającej polityki podatkowej, gospodarczej, społecznej i wreszcie — nagonki ideologicznej, polski chłop przetrwał na ziemi, utrzymał ją, pobudował się,

wzbogacił park maszynowy, a na dodatek — na dodatek! — wyżywił nie tylko siebie i rząd, ale także miasto, które się niustannie rozrastało i pochłaniało rolniczą ziemię.

Ten chłop, śmieszny, niemodny, z czarnym brudem za paznokciami i okutaną w chustkę żoną, zapewnił nam, nam — to znaczy narodowi — przetrwanie w najtrudniejszych chwilach naszego społecznego bytu. Ostaliśmy się jako suwerenny, samodzielnie myślący naród nie dzięki górnictwu węglu i miedzi, nie dzięki przodującej roli „sektora uspołecznionego”, ale dzięki katorżniczej pracy polskiego prywatnego chłopca. Ten chłop, w najczarniejszej godzinie „socjalistycznej” ekonomiki budował chlewnie i stodoły, inwestował w maszyny, zamiast w dolary i telewizory. Nadludzkiem wysiłkiem kształcił dzieci: na uniwersytetach, w politechnikach i akademiach medycznych, w technikum i gimnazjach. Bo ten chłop jest dzisiaj człowiekiem światłym, rozumiejącym ogólnosiwiatowy trend cywilizacyjny. A więc on wie, że dochód pomnaża już dzisiaj nie prosta praca łopata, ale wysiłanie umysłu. Czego przez 45 lat nie wiedziała „władza ludu”.

W województwie białkopodlaskim odbył się w czerwcu br. spis rolny, który wykazał, że pogłowie prosiąt spadło o przeszło 20 procent. Dyrektor Sawicki jest zdania, że dno kryzysu żywnościowego nastąpi za parę miesięcy, pomiędzy lutym i czerwcem przyszłego roku. Ale potem nastąpi szybkie wznoszenie się w górę i mięso będzie — od lipca 1990 roku.

Takie są prawa biologii: mięso rośnie kilka miesięcy. Zboże rośnie około roku. Jeżeli zostaną uruchomione mechanizmy opłacalności, rolnik rzuci się na produkowanie żywności. To już teraz widać, że się rzucił.

Pytam, czy także rzucił się do sprzedawania tego, co wyprodukował.

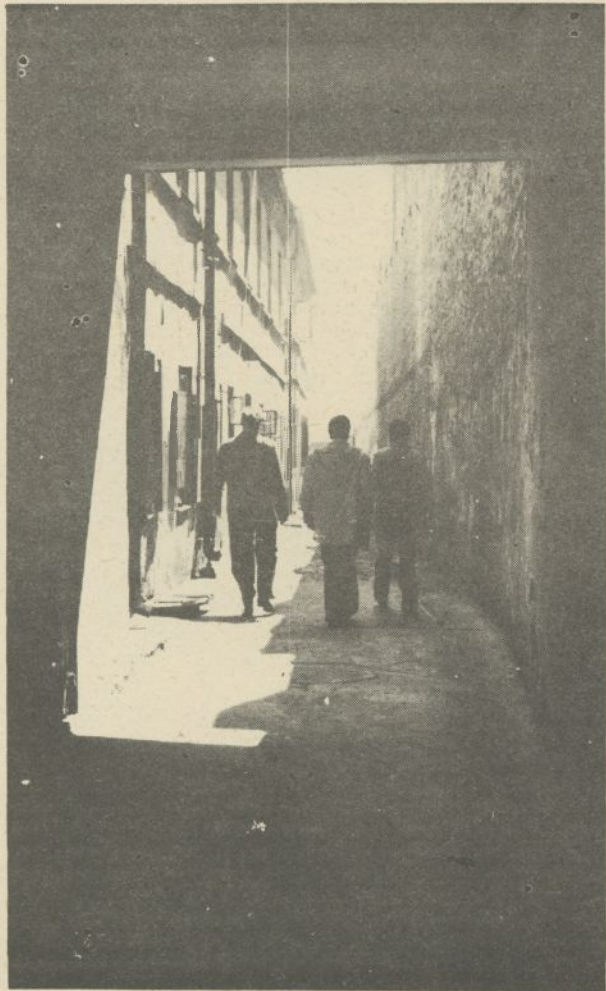
— Pod warunkiem, że mu się to opłaci.

I rolnik prywatny, i dyrektor PGR, i dyrektor masarni, i dyrektor wydziału w Urzędzie Wojewódzkim — wszyscy są w tej mierze zgodni: rolnictwo musi się opłacać.

Czy polityka nowego rządu, rządu Tadeusza Mazowieckiego, zmierza ku preferencjom dla produkcji żywnościowej? — odpowiem w następnym reportażu, gdzie tropił sprawy związane z powstawaniem nowych spółek rolniczych.

Andrzej W. Pawluczuk





Fot. Waldemar Stępień

**M**ASZ pomysł na rozkręcenie jakiegoś interesu, przyjdź, damy pieniądze — Firma „Ocean”.

Ogłoszenie takiej treści ukazywało się w „Słowie Podlasia” przez około półtora miesiąca. Zgłosiły się trzy osoby. Żadna z nich nie przedstawiła konkretnych propozycji. Żadna nie wiedziała, co robić. „Bo zasadą naczelną mieszkańca Białej jest: nie wychylać się!”. Tak mi powiedziała pracownica Klubu Kultury „Piast”. Lepiej czegoś nie zrobić, niż zrobić. A do wszystkiego co nowe, podchodzi się jak pies do jeża. Najlepiej więc siedzieć w domu.

1 czerwca 1975 roku Biała Podlaska została podniesiona do rangi stolicy województwa.

— Wcześniej było dobrze — komentują ten awans białczanie. — Nikomu nie przeszkadzał nasz rynek. Do wychodka chodziło się choćby za stodołę. Aż przyszli obcy i zaczęli się rządzić.

Wojewodowie, prezydenci, sekretarze, cały ten nowy aparat władzy, to ludzie przywożeni w teczkach. Białczanie przestali więc czuć się u siebie. To nowym, bardziej potrzebnym dla miasta, dawano w pierwszej kolejności mieszkania. Oni zarabiali więcej. Jako że często nowe stanowiska obsadzane były przez radzynieaków — ukuto powiedzenie: „Zamienię M-4 na radzyniejskie pochodzenie”.

— Co takich ludzi może obchodzić Biała Podlaska? — pytali i pytają białczanie.

Pewnie niewiele. Świadczą o tym markowane raczej przedsięwzięcia. Przykład? Na Brzeskiej wyburzono parę starych dworców i wzniesiono nowoczesny pawilon handlowy „Rywal”. Obsługuje on przede wszystkim tłumnie tutaj zjeżdżające wycieczki radzieckie. Dlatego też czynny jest przez cały tydzień.

— Czasami nie wiem, gdzie mieszkać. W Polsce, czy nie — mówi mężczyzna spotkany w pawilonie. Niedaleko, przy ul. 1 Maja, stoi równie nowoczesny, przestronny dom handlowy „Sawko”. Kontrast między wyglądem tych dwóch pawilonów a ich otoczeniem, z przyklejonymi do siebie małymi, parterowymi kamieniczkami, jest odzwierciedleniem tutejszych pragnień i snów o wielkości oraz faktycznego obrazu miasta. Pędu władz do wielkiej metropolii i zaściankowych zaszczytów Białej Podlaskiej.

Architekt, Ewa Nykanda-Trepka z Biura Dokumentacji Zabytków, te wielkomięskie dążenia uważa za krzywdzące dla miasta.

— Miało ono — mówi — charakterystyczną, małomiasteczkową zabudowę, z małymi sklepikami i to był jego urok. I to trzeba przede wszystkim zachować, kontynuować tradycję, a nie na siłę tworzyć to, czego nie ma, stawiając, gdzie popadnie, nowoczesne landary.

Dla Białej Podlaskiej ten „landary” są tym bardziej zgubne, że nie powstała dotąd żadna generalna koncepcja rozwoju przestrzennego miasta. Były plany, były projekty. W latach 70. powstał projekt wyburzenia starego centrum i stworzenia nowego, już na miarę stolicy województwa. Dziś taki plan jest niemożliwy do zrealizowania. Układ urbanistyczny śródmieścia, zamykającego się ulicami: Spółdzielczą, Akademicką, Nową, Alejami Tysiąclecia i rzeką Krzną, wpisany jest do rejestru zabytków. Oznacza to, że bez zgody konserwatora wojewódzkiego nie tylko żaden stary domek nie może pójść pod buldożer, ale nie może być dokonana nawet najdrobniejsza zmiana.

W przyszłości wyburzone mają być stare, mocno zniszczone, drewniane budynki. Można je spotkać niemal na każdym kroku. Zostałyby zniszczone już daw-

no, gdyby nie profesor Wiktor Zin. Przyjechał przed laty do Białej, jako wiceminister kultury i sztuki, i zwrócił uwagę władzom miasta na piękno i zabytkowy charakter tej starej zabudowy. „To trzeba ocałować” — miał wówczas powiedzieć. Wspomniano o stworzeniu skansenu w Strzyńcu. Dziś nie byłoby możliwe ich przeniesienie.

— Rozszepałyby się w drobny mak — mówi Ewa Nykanda-Trepka. — Jeszcze 15, 20 lat temu można było je uratować, ale w latach 70. nie wydawano nawet zezwoleń na przeprowadzenie koniecznych remontów!

Niedługo ich miejsce zajmą nowoczesne — na miarę końca XX wieku — obiekty.

Sny o potęgę... Nie pasuje do tych planów biały rynek. Mały kwadrat przypomina bardziej plac niż centrum miasta. Otoczony ze wszystkich stron piętrowymi kamieniczkami i ze skwerkiem pośrodku — jest rzeczywistym sercem Białej Podlaskiej. Mieszkańcy zwą go „kieratem”.

Na rynkowym skwerku spotykają się biały „niebieskie ptaki”. Niedaleko jest przecież „Arenda” — największa „mordownia”, w której piwo wydają od 9 rano. Przy samym rynku restauracja „Podlasianka” z unoszącym się nad ulicą zapachem jadła. Tu w każdej chwili można wskoczyć „na setkę”, więc skwerkowe ławki zajęte są niemal od świtu. Widok tego towarzystwa, podciętego, hałasującego, awanturowanego się i zaczeplającego przechodniów, podpowiada, że w Białej dużo się pije.

Biała Podlaska ma wspaniałą przeszłość. To miasto Radziwiłłów znane w całej Rzeczypospolitej jako dru-

Dlatego do biały Biura Wystaw Artystycznych na wystawy zganiana się szkoły. Dlatego pracownicy doskonale niegdyś prosperującego Klubu „Piast” skarżą się, że nie mają dla kogo organizować imprez. Dlatego przestała istnieć Galeria Fotografii Socjologicznej. „Jeżeli nie pomagają, niech chociaż nie przeszkadzają” — słyszę.

Sławny niegdyś Teatr Ziemi Podlaskiej umiera, gdyż aktorom nie stworzono możliwości odbywania normalnych prób. Biała Podlaska nie ma przecież własnego budynku teatralnego. Od lat rolę tę pełnił Dom Strażaka, doskonale przygotowany do takiej funkcji, ale straż pożarna odebrała swój budynek miastu, jeszcze w latach siedemdziesiątych. Do tej pory nie ma innego, odpowiedniego pomieszczenia dla teatru.

— W przypadku kultury biały najbardziej jaskrawo ujawnia się kompleks prowincji, tkwiący także we władzach — słyszę. — Uważają oni, że cudze to lepsze. Dlatego zamiast wypracowywać sobie tu, na miejscu, bazę i środowisko kulturalne, zaprasza się artystów koniecznie z Warszawy, w ostateczności — z Lublina. A gdy my chcemy coś zaprezentować, to słyszymy: a co wy tam potraficie.

Od lat pragnieniem twórców w Białej Podlaskiej było stworzenie Klubu Twórczego, kawiarni mogącej być zwornikiem dla często skłóconych, rozproszonych grup artystów. Miejsca, gdzie mogliby się spotykać, rozmawiać. Nic nie zrobiono w tej sprawie.

Przed miesiącem Tadeusz Żaczek założył prywatną, od nikogo nie zależną galerię fotografii. W tym celu wynajął jeden pokój w kamienicy przy ul. Butkiewiczicza.

— Największe szczęście dla młodych to wyrwać się z tego miasta — podsumował swoją sytuację zagad-

„Ni to miasto, ni to wieś, ani wypić, ani zjeść”

# CAŁA BIAŁA (PODLASKA)

Violetta Krasnowska

gie, po Nieświeżu, gniazdo możnowładczego rodu. Zeby podnieść rangę Białej, po wizycie ministra Krawczuka władze miasta postanowiły odbudować słynny pałac Radziwiłłów. Jego uroda znana jest jedynie ze starych rycin i makiety ustawionej w Muzeum Okręgowym. Nie byłoby nic niezwykłego w zamiarze odbudowy pałacu, gdyby nie fakt, że jego zarys można odtworzyć jedynie na podstawie trasy alejek parkowych. Z siedziby rodu, oprócz bramy wjazdowej, tzw. „szyi”, kaplicy niewiele pozostało.

Z tą kosztowną inicjatywą władze miasta wyszły w czasie, kiedy w całym mieście jedynie 68,2 procent mieszkań ma wodę z wodociągów. Pozostali mieszkańcy korzystają z ośmiu studni „abisynek” i dwudziestu dwóch źródeł ulicznych. W czasie, kiedy tylko 66,1 procent mieszkań ma kanalizację, a z gazowego ogrzewania korzysta mniej niż 2 tysiące odbiorców. W ponad 50 tysięcznym mieście!

Mieszkańcy Białej Podlaskiej wywodzą się z pobliskich wsi. Na przykład: w roku 1987 na 1385 osób przybyłych tu na stałe — z miast było jedynie 322 osoby; ze wsi — aż 1063 osoby. Przyzwyczajenia nabyte na wsi nie giną w mieście. Dlatego powszechnym widokiem w Białej są komórki poustawiane na tyłach domów. Zwie się je chlewikami. Hoduje w nich kury, króliki, trzyma stare, już niepotrzebne w domu sprzęty. Gdy jedna komórka jest zagracona, stawia się obok drugą, trzecią, a na niej czwartą... Tak również w mieście miasto chlewików.

Powszechnego niegdyś zwyczaju pozostawiania obuwi przed drzwiami do mieszkań oduczyli nowo przybyłych do miasta złodzieje.

Młodzi lubią dyskotekę i video. Namówić kogokolwiek na imprezę amatorską — trudno.

— Na jak długo może starczyć zapalu i chęci działania przy braku jakiegokolwiek poparcia ze strony władz? Przy braku jakiegokolwiek zainteresowania mieszkańców Białej? — spytał biały działacz kultury.

nięty chłopak. — Najlepiej wyjechać na studia i już tu nie wracać. Bo po co?

Zapotrzebowania na ludzi z wyższym wykształceniem w Białej Podlaskiej nie ma. W „Białawie” czy w Biały Zakładach Mebli potrzebni są robotnicy niewykwalifikowani.

— Funkcjonująca od 1970 roku Akademia Wychowania Fizycznego od początku była poronionym pomysłem — mówi pan Sucharzewski, były wiceprezydent miasta. — Była i jest obcym ciałem w Białej. Żyje własnym życiem i nie wnosi niczego dla jej mieszkańców.

Bardziej realne i bardziej potrzebne byłoby założenie tutaj Akademii Rolniczej. Trudno teraz dociec — kto i dlaczego wybrał akurat AWF.

Jak w każdym małym mieście — wszyscy o wszystkim wiedzą. Tutaj również ciągle słyszę o klikach. Zeby zalać cokolwiek, trzeba przede wszystkim wiedzieć — z kim i za co.

— Rączka rączkę myje. Nazwiska? — dziwią się moi rozmówcy. — Pani, my chcemy tu jeszcze pomieszkąć. Nie chcemy mieć żadnych kłopotów. Przecież i tak się nic nie zmienia.

Karuzela stanowisk — to często tutaj używane określenie. Sekretarz KW PZPR zostaje wicewojewodą, pracownicy Wydziału Kultury zamieniają się na pracowników Wydziału Propagandy KW itd. itd.

„Tu w Białej nadal doskonale sobie radzi stary system. Nazwijmy go poststalinowszczyzną” — słyszę. A oprócz tego oni czują się bezkarni. Świadczy o tym choćby niedawna afera z firmą Vietpol, której udziałowcami mieli być różni „oficjele”. Miały być przywożone z Wietnamu ziemie rzadkie, z których uzyskiwano by jakieś pierwiastki. Realne, czy nie, obawy radioaktywności tych ziem i wydobytych z nich pierwiastków wzbudziły protest białczan. Dzięki temu do realizacji pomysłu nie doszło.

Jaka jest więc ta Biała Podlaska? Taksówkarz odpowiedział: „Ni to miasto, ni to wieś, ani wypić, ani zjeść”.



— Od kiedy istnieje ZHR w Lublinie i kto był jego założycielem?

— Pierwsza niezależna organizacja harcerska — Niezależny Ruch Harcerski — powstała w Lublinie już wiosną 1981 roku. Niestety, nie przetrwała stanu wojennego. Instruktorzy NRH działali w latach 1982—89 w kilku niezależnych od siebie grupach i środowiskach harcerskich. Natomiast sama idea ZHR zrodziła się w czasie ogólnopolskiego spotkania instruktorów w Warszawie 12 lutego br. Na tym spotkaniu grupa instruktorów z całego kraju postanowiła powołać niezależną, jednoznaczną ideowo, ogólnopolską organizację harcerską. Nadaliśmy jej nazwę Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. Ze środowiska lubelskiego w zebraniu uczestniczyli: Michał Borzyński, Andrzej Sądowski i ja.

— Jak ruch harcerski wyglądał przed powstaniem ZHR, przedzie widywano niezależnych harcerzy na różnych uroczystościach, na pielgrzymkach?

— Od 1981 roku możemy mówić o niezależnych alternatywnych organizacjach harcerskich działających poza ZHP. Pierwszą był wspomniany już Niezależny Ruch Harcerski. Kolejne powstawały w latach stanu wojennego. Przed utworzeniem ZHR istniało jednocześnie kilkanaście harcerskich środowisk i organizacji niezależnych — większość z nich miała jednak lokalny charakter.

Obok nurtu organizacji niezależnych, działał w latach osiemdziesiątych liczniejszy z pewnością nurt „opozycji” wewnątrz ZHP. W początku lat osiemdziesiątych skupiła się ona w Kręgach Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, później w tzw. „Ruchu Harcerskim”.

— Ilu członków liczy obecnie ZHR?

— W I Walnym Zjeździe (1—2 IV 89) uczestniczyło 424 instruktorów spośród niemal 600, którzy zgłosili swój akces do związku. W chwili obecnej związek skupia około 10 tys. zuchów, harcerzek, harcerzy i instruktorów. Drużyny ZHR działają na terenie ponad 70 miejscowości.

— Jakie są cele ZHR, czym się różnicie od ZHP?

— Chcemy rzetelnie nawiązywać do tradycji polskiego harcerstwa. Nawiązując do jego tradycji ideowych, organizacyjnych, programowych i metodycznych, budować organizację zdolną odpowiadać na potrzeby dnia dzisiejszego.

Związek wychowuje swoich członków w oparciu o zasady etyki chrześcijańskiej. Jest jednocześnie otwarty światopoglądowo — jest w nim miejsce dla ludzi różnych wyznań i religii, wierzących i niewierzących. Jednocześnie związek stwarza warunki, by ci, którzy tego pragną, znaleźli w nim oparcie i pomoc w umacnianiu i pogłębianiu swojej wiary.

— Czy to jedyna różnica w stosunku do ZHP, czy są jeszcze inne?

— Nie jestem pewien, czy trzeba o tym mówić w kategorii różnic. Musimy sobie uświadomić, że zmiany dokonane w ZHP w czasie ostatniego zjazdu wyczyściły statut i inne podstawowe dokumenty ideowe ZHP ze wszelkich sformułowań o polityce, partyjności, ideologii. Dziś trudno mówić o różnicach czy podobieństwach, jeśli nie bardzo wiadomo, czym jest ZHP — jakie jest jego oblicze ideowe.

Warto wymienić może jedną charakterystyczną różnicę. ZHR opiera swoją działalność wychowawczą na społecznej pracy członków. Nie będzie w nim etatowych naczelników, drużynowych, działaczy. W dzisiejszym ZHP jest inaczej.

Natomiast wracając do celów, jakie sobie stawiamy. Chcielibyśmy wychowywać ludzi potrzebnych dziś Polsce. Nie tylko pełnych wzniosłych idei, ale także umiejących sprawnie działać w nieprostej sytuacji, w jakiej znalazła się obecnie Polska.

W dokumentach ideowych, statucie piszemy m.in., że ZHR, wychowując młodzież w umiłowaniu wolności, demokracji i poszanowania poglądów innych, nie łączy swojej pracy z żadnym określonym stronnictwem politycznym. Jak można było przeczytać w jednym z ostatnich numerów „Sztandaru Młodych”, podobne deklaracje składa ostatnio także ZHP.

Trudno jednak dziwić się, że wielu instruktorów, rodziców, wychowawców nie ma zaufania do członków obecnych władz ZHP — ludzi, którzy deklaracje takie składają zaledwie od kilku miesięcy. Autentyczni instruktorzy harcerscy, podejmujący wielokrotnie w ostatnich dziesięcioleciach próby reformowania ZHP, byli często usuwani z tej organizacji lub karani w inny sposób za zachowania, które dziś chwalone są przez władze ZHP jako demokratyczne i „postępowe” (np. obec-

szego ZHR. Drużyny te bardzo dobrze ze sobą współpracowały. Natomiast nawiązywanie oficjalnych stosunków między władzami ZHR i ZHP możliwe jest w naszym przekonaniu dopiero po publicznym uznaniu przez władze ZHP faktu istnienia ZHR i innych organizacji niezależnych.

— Jak wygląda dziś problem rejestracji ZHR?

— Wniosek został złożony do sądu 10 maja br. Czekamy na wyznaczenie terminu rozprawy. Niestety, ustawa „Prawo o stowarzyszeniach” uniemożliwia właściwie zarejestrowanie jakiegokolwiek organizacji nawiązującej wprost do tradycji polskiego harcerstwa, używającej mundurów czy odznak harcerskich. Tak więc prawdopodobnie, zanim zdołamy zarejestrować ZHR, konieczna będzie zmiana ustawy o sto-

jest zarejestrowany, nie ma prawa posiadania jakiegokolwiek majątku, lokali itd.

— Co ZHR robi na co dzień, czy możesz podać przykłady konkretnej działalności?

— Związek to przede wszystkim drużyny. A więc zbiórki, obozy. W ostatnie wakacje — pierwsze wakacje ZHR — wyruszyło w Polskę około 200 obozów. Starsze drużyny starają się zapracować na swoją działalność np. kolportując prasę. W Trójmieście niemal cały uliczny kolportaż „Tygodnika Solidarność” organizują nasi harcerze.

Ciekawa jest działalność drużyn zaangażowanych w kontakty z młodzieżą na Wschodzie, przede wszystkim na Litwie. Ostatnio wyjechała do Wilna grupa 10 instruktorów ZHR. Wyjazd

# ZWIĄZEK HARCERSTWA RZECZYPOSPOLITEJ

## Rozmowa z naczelnikiem - Krzysztofem Stanowskim

ność księdza na obozach czy zbiorowe uczestnictwo młodzieży w mundurach we mszy św.).

Do niedawna ZHP nie przyjmował do wiadomości faktu powstania ZHR i innych organizacji harcerskich. W tych warunkach nie mogło być mowy o jakimkolwiek współdziałaniu czy oficjalnych kontaktach między organizacjami. Charakterystyczne, że w kilka tygodni po zjeździe ZHP naczelnik tej organizacji odmówił udziału w redakcyjnym spotkaniu z naczelnikiem ZHR, spotkaniu zaproponowanym przez redakcję jednego z pism harcerskich. Nadal zdarzają się przypadki publicznego oskarżania przez instruktorów ZHP naszej organizacji o faszystowski czy nawet terrorystyczny charakter.

Od kilku tygodni władze ZHP gwałtownie starają się nawiązać z nami rozmowy. Już w kilka godzin po powierzeniu Tadeuszowi Mazowieckiemu funkcji premiera dzwonił do mnie druh Grzebyk, naczelnik ZHP, tłumacząc, że teraz właśnie, już zaraz, konieczne jest nawiązanie współpracy, rozpoczęcie rozmów. Niestety tematy rozmów, jakie próbuje się nam sugerować — być może odpowiednie dla zawodowych polityków czy etatowych działaczy młodzieży — dla nas są niejasne i niezrozumiałe. Nie bardzo wiemy, co to takiego „dobro dziecka” czy „kształt harcerstwa”. Szkoda nam też trochę czasu na rozmawianie o abstrakcji.

ZHP przeżywa prawdopodobnie poważne problemy związane z utrzymaniem aparatu etatowego czy ogromnymi dotacjami otrzymywanymi dotychczas od państwa. Przez wielu atakowany jest jako organizacja mało wiarygodna czy wręcz nieharcerska. Obawiamy się, że próby rozmów mogą być traktowane przez władze ZHP instrumentalnie i mają symulować istnienie jakiegoś porozumienia z ZHR, społecznej akceptacji dla działania tej organizacji.

— Czy oznacza to, że nie chcecie się kontaktować z ZHP?

— Oczywiście kontakty takie są konieczne. W specjalnej uchwale zjazdowej napisaliśmy, że współdziałanie drużyn ZHR i ZHP czy jakiegokolwiek innej organizacji harcerskiej jest oczywiste i naturalne. W tym roku zdarzały się sytuacje, że nad jednym jeziorem obozowały drużyny z trzech organizacji harcerskich: POH, ZHP i na-

warzyszeniach. Dziś jednak to wyłączenie jest elementem naszych kontaktów z polskim harcerstwem i skautingiem litewskim, działających na tamtym terenie. Niedawno w Lublinie przebywała grupa dzieci z Armenii, włączyliśmy się w zorganizowanie ich pobytu.

— Kto wam pomaga?

— Pomagają nam różni ludzie dobrej woli. Pierwszy Zjazd ZHR w 90 proc. został sfinansowany przez uczestników, lokal dał Uniwersytet Gdański, zakwaterowanie — rodzice harcerzy z Trójmiasta. Podobnie funkcjonuje dziś cały związek.

— Czym się zajmujecie?

— Obecnie jesteśmy w trakcie przebudowywania programu związku. W tym miejscu chciałbym powiedzieć o trzech sprawach, które pragniemy w szerszym stopniu włączyć w życie drużyn.

Pierwsza to wychowanie do demokracji. Chcemy, by każdy 15-, 16-letni harcerz wiedział, czym jest samorząd szkolny i jak powinien on funkcjonować, jak zorganizować wybory do takiego samorządu, jak tworzyć spójnie działające uczniowskie. By harcerze opuszczający nasze drużyny byli przygotowani do uczestnictwa w życiu kraju, do działania w „dorosłej” demokracji.

Druga sprawa, obok demokracji, to wychowanie ekonomiczne. Polsce potrzeba ludzi zdolnych do utworzenia spółdzielni, spółki, kierowania przedsiębiorstwem. Wszystkie te umiejętności harcerze powinni zdobywać poprzez pracę w drużynie.

Trzeci problem to ekologia. Trudno powiedzieć, czy nie nadchodzi czas na pikietowanie sklepów sprzedających płyn zwany „mlekiem”. Na systematyczne badania, co to „mleko” zawiera i informowanie o tym społeczeństwa. Być może to są właśnie zadania na dziś dla drużyn starszoharcerskich.

— Gdzie wasi harcerze się spotykają?

— Czasem w najdziwniejszych miejscach. W Lublinie w kilku przypadkach korzystamy z lokali udostępnianych nam przy parafiach. Drużyny spotykają się też w prywatnych mieszkaniach, na ulicy, czasem w szkołach, a przede wszystkim w lesie. Do robienia organizacji takiej jak nasza nie trzeba wielkich budynków, hal sportowych. Ponieważ związek ciągle nie

jest elementem naszych kontaktów z polskim harcerstwem i skautingiem litewskim, działających na tamtym terenie. Niedawno w Lublinie przebywała grupa dzieci z Armenii, włączyliśmy się w zorganizowanie ich pobytu.

Dziś, kiedy dla tysięcy rodzin przetrwanie ekonomiczne staje się poważnym problemem, włączamy się aktywnie w akcję „zwyczajnej” pomocy charytatywnej, prowadzoną przez Kościół katolicki czy różne niezależne organizacje społeczne.

W czasie pielgrzymek Ojca św. do Polski, czy w skali Lublina, gdy nasze miasto odwiedził Lech Wałęsa i Czesław Miłosz, znaczna część służb porządkowych była organizowana przez harcerzy.

Tego typu spektakularne akcje nie stanowią jednak istoty działania związku. Najważniejsze jest to, co dzieje się w drużynach, a wygląda to bardzo różnie w różnych środowiskach. W Szalejowie Górnym praca drużyny będzie wyglądać zupełnie inaczej niż w Warszawie czy Krakowie. To chyba dobrze.

— A jak wygląda właśnie na wsi?

— W Szalejowie Górnym w Kotlinie Kłodzkiej — wsi liczącej niespełna 200 numerów — od kilku lat istnieje niezależna drużyna harcerska. Przewinęło się przez nią ponad 200 osób. Niemal w każdej zagrodzie spotkać możemy jednego czy dwóch harcerzy. Drużynowy został też szefem Solidarności Rolników Indywidualnych w swoim regionie. Takie właśnie drużyny są solą naszego związku. W nich rodzą się: przyszły dobry sołtys, ksiądz, nauczyciel, inżynier. Marzy mi się takie harcerstwo.

— Jesteś od lat harcerzem, nawet ślub brałście z Barbarą w mundurach?

— To zdarza się nawet w najlepszej rodzinie. Kiedy w 1982 roku, w okresie stanu wojennego, braliśmy ślub, rzeczywiście byliśmy w mundurach my sami, w mundurze był również ksiądz i kilka setek uczestniczących w uroczystościach harcerzy lubelskich. To się zdarza... czasami.

Rozmawiała:

Anna Mickiewicz



## Jesień 1939

### Zbigniew R. Muszyński

**W** DZIEŃ lub dwa po walce resztek 27 pp z Armią Czerwoną w Rogalinie, wymordowaniu jeńców w Husynnem oraz personelu i chorych szpitala polowego w Grabowcu, w poniedziałek 25 września, we wsi Teptiuków (4 km póln. wsch. od Hrubieszowa), leżącej przy szosie Hrubieszów — Uściąg — Włodzimierz Wołyński, konni czerwonoarmiści pojmali przy studni obok gospodarstwa Stefana Bajdy bezbronnego żołnierza z kawałkiem chleba w ręku. Być może był to żołnierz z 27 pp, walczący niedawno pod pobliskim Rogalinem.

Przeprowadzono „śledztwo”, kto dał żołnierzowi chleb. Tylko interwencja sąsiadki-Ukrainki uchroniła gospodarza, Stefana Bajdę, od śmierci za udzielenie pomocy polskiemu żołnierzowi na polskiej ziemi przez Polaka. Ujętego żołnierza krasnoarmiejscy odprawiali kilkaset metrów od gospodarstwa i zastrzelili przy drodze. Zwłoki pochowano później na terenie pobliskiego majątku Morocznin.

Wykonawcy „wyroku” i grupa innych czerwonoarmistów zasiedli po egzekucji do posiłku w gospodarstwie, gdzie został ujęty żołnierz. Dzieliąc się „wrażeniami” z ostatnich dni, jeden z posilających się stwierdził: „Nabiliśmy ich tyłu, że leżą po rowach jak psy”. Rozmowę tę słyszała — znająca dobrze język rosyjski — Stanisława Bajda.

Przez wiele lat nie wiadano, kim był zamordowany w Teptiukowie żołnierz. Zachowała się tylko wiadomość, że pochodził podobno z Warszawy. Wspomniany poprzednio p. Janusz Pomorski z Puław ustalił po 50 latach, wiosną bieżącego roku, że ofiarą mordu w Teptiukowie był pchor. Stanisław Bąk.

#### W kolonii Jabłoń

W czasie walki Armii Czerwonej z Polakami w dniu 29 września, obok zagrody Marcina Jaszczuka, znanego w okolicy z komunistycznych zapatrywań, ciężko ranny został radziecki żołnierz. Gospodarz, niezależnie czym powodowany — chrześcijańskim samarytanizmem, klasową solidarność czy zwyczajnym ludzkim odruchem, zabrał rannego do domu, zostawiając przy przenoszeniu krwawe ślady. Czerwonoarmista zmarł w izbie, mimo grób udzielenia mu pomocy. W niedługim czasie na podwórzu gospodarstwa Jaszczuka pojawili się żołnierze radzieccy, którzy zobaczywszy, że ich towarzysz nie żyje, nie słuchali wyjaśnień Jaszczuka, że chciał mu udzielić pomocy, że on sam jest komunistą, że czekał na ich przyście i skwitowali wszystko jednym kategorycznym stwierdzeniem: „Ach, ty sukiny! Ty ubił naszego soldata!”. Najpierw Jaszczuka dotkliwie pobili, a w chwilę później zastrzelili na podwórzu. Istnieje również inna wersja wydarzenia, przekazana w liście naszego czytelnika z Jabłoni, według której Jaszczuka zastrzelono pod wiatrakiem we wsi Radcze, co jest jednak mało prawdopodobne.

#### Po walkach w Jabłoni

stoczonych 29 września i odejściu 60 DP w rejon Milanowa — Cichostowa, podążające z północny zagon radzieckie; 4 armii rozlały się po okolicy i penetrowały poszczególne zabudowania. Następnego dnia, w sobotę, w kolonii Antopol (nazywanej również Wan-

topol), leżącej między lasem Smuga, Puchową Górą i Jabłonią, czerwonoarmiści pojmali w gospodarstwie Jana Mitruczuka i sąsiednim pięciu żołnierzy polskich (pozostających tam po walkach), prawdopodobnie z któregoś z pułków 60 DP. Ujętych zamierzano natychmiast rozstrzelić. Kobiety, mieszkanki domów, w których przebywali zatrzymani żołnierze, i ich sąsiadki podniosły lament. Płaczące kobiety zapewnił jakiś radziecki „komandir” który zjawił się tam w czasie przygotowań do wykonania „wyroku”, iż żołnierze nie będą zastrzeleni, a po przesłuchaniu i spisaniu zostaną puszczeni do domów.

Nazajutrz — była to niedziela — mieszkańcy Antopola, a wśród nich również Jan Mitruczuk, wybrali się na mszę do kościoła w pobliskiej Jabłoni. Kilkadziesiąt metrów przed szosą, w przydrożnym rowie, dojrzały leżące zwłoki żołnierzy, w których rozpoznali uję-

tych w ich gospodarstwach poprzedniego dnia pięciu uczestników walk w Jabłoni. Jeden z tych żołnierzy mówił poprzedniego dnia goszczącym go, iż idzie do domu, bo mieszka w okolicy, niedaleko Międzyrzecza (Podlaskiego). I tyle tylko wiemy o pięciu zamordowanych. Nieznane są nazwiska, nieznana jednostka, w której służyli we wrześniu. Pochowani zostali w zbiorowej mogile na cmentarzu w Jabłoni.

#### Po bitwie w Wytoczynie

żołnierze, którym udało się uniknąć natychmiastowego pójścia „w plen”, usiłowali wydostać się z rejonu walk, nasyconego Armią Czerwoną. Niektórzy czynili to samodzielnie, inni starali się pozyskać pomoc miejscowej ludności, co jednak bywało niekiedy bardzo niebezpieczne i powodowało tragiczne skutki w przypadku zwrócenia się o pomoc do Ukraińców, zachęconych i zmobilizowanych przez Czerwoną Armię do mordowania „polskich panów”. O przypadkach takich mowów we wsiach Zbereże i Złobek wspominałem już w poprzednim odcinku.

Ukraińcy ze wsi Dominiczyn (22 km pld. zach. od Włodawy) zatrzymali dwu nieznanych żołnierzy WP, których następnie zastrzelili między Dominiczynem i Wytoczynem. Miejsce pochowania zamordowanych nieznane.

W tym samym czasie we wsi Wołoszkowola (25 km zach. od Włodawy) miejscowy Ukraińiec zwał do swego domu dwóch oficerów, pod pozorem zaopatrzenia ich w cywilne ubrania. Gdy oficerowie zaczęli zdejmować mundury, wszedł z bronią i jednego zastrzelił, natomiast drugi wyskoczył z mieszkania i uciekł. Zamordowany został pochowany prawdopodobnie na cmentarzu prawosławnym w Brusie, informacja ta nie jest jednak pewna.

Mordów pojedynczych żołnierzy i ogarniętych przez Armię Czerwoną grup wojskowych, walczących pod Wytoczynem, dokonywali również sami czerwonoarmiści. W miejscowości Borysik (4 km pld. od Urszulina) 1 października zamordowani zostali przez żołnierzy Armii Czerwonej pochwycony we wsi kpt. Stanisław Stolarski oraz nieznany żołnierz. Kapitana Stolarskiego zabito kilkoma pchnięciami bagnetu w brzuch. W drugim przypadku morderstwo dokonane zostało w rejo-

nie Borysik — Zabrodzie (2 km pld. od Urszulina). Obydwaj zamordowani pochowani zostali (kiedy?) na cmentarzu rzymskokatolickim w Wereszczynie, obok mogiły żołnierzy poległych w walkach z bolszewikami w 1920 r. Pochówku kapitana dokonał mieszkaniec Wereszczyna, Czesław Gąsior, który sprawdził i zanotował nazwisko zamordowanego. Nieznane go żołnierza pochowali Stefan Chlebowicz i Adam Dębicki, w trumnie sporządzonej przez stolarza z Zabrodzia, Stefana Rose.

W rejonie kolonii Szelebudy (20 km pld. zach. od Włodawy) czerwonoarmista zranił śmiertelnie rannego już wcześniej żołnierza WP, wiezionego furmanką do szpitala we Włodawie (przez kogo był wieziony?). Żołnierz zmarł w drodze i został prawdopodobnie pochowany obok drogi w lasach włodawskich. Miejsce grobu nieznane. Być może, iż zamordowanym był strz.

# ARMIA CZERWONA

Jan Mazur z baonu fortecznego „Małyńsk” pułku „Sarny”.

Z relacji osób z wioski bliskich Wytoczyna wynika, że po zakończeniu bitwy wytoczkiej grupy pościgowe Armii Czerwonej wyłapały ponad 300 żołnierzy WP, w tym co najmniej kilkunastu oficerów. Widziano ich prowadzonych z kierunku wsi Pieszowola (30 km zach. od Włodawy) lasami na wschód, m. in. przez miejscowość Wielki Łan. Szli, omijając większe wsie i osady. Nieznane jest miejsce, skąd wyruszyli jeńcy (z Sosnowicy?), nie wiadomo, dokąd kolumna została doprowadzona. Na podstawie dotychczas zebranych relacji trudno również określić dokładnie datę przemarszu. Ślad po nich zaginął, ale wiele wskazuje na to, że nie przeszedł Bugu i zostali wymordowani na lewym, do tego czasu nieznanej, brzegu. Oficerowie z tej grupy nie występują na listach ofiar Katynia, Kozielecka, Ostaszkowa i Starobielska. Może jeszcze uda się odkryć miejsce ich masowej zagłady? Może pomogą w uchyleniu rąbka tajemnicy starsi mieszkańcy tamtych okolic? Może iśmniecy coś wiedzą o mogile? Każda, nawet pozornie błaha i drobna wskazówka może okazać się bardzo cenną w zestawieniu z innymi, już posiadanymi.

Do miejscowości, w których szczególnie dała się we znaki Armii Czerwonej WP radziecka „pięta kolumna”, należał

#### Kodeniec

wieś leżąca 15 km na wschód od Parczewa, zamieszkała w 1939 roku w znacznej większości przez Ukraińców. 28 września zamordowany został podobno we wsi przez miejscową ludność por. rez. piech. Erwin Poznański z 12 pp (zginął w wieku 55 lat). W nocy z 28 na 29 września do Kodenca dotarł działający w ramach 178 rezerwowego pp patrol saperów z ośrodka zapasowego 1 baonu saperów z Modlina, stanowiący straż przednią rezerwowej 50 DP (zwanej także dywizją „Brzoza”), dowodzonej przez płk. art. Ottokara Brzozę-Brzezinę. Dywizja ta, w ramach SGO „Polesie”, przemierzała się z rejonu Włodawy w kierunku na Parzew. Patrol został obrzucony granatami przez miejscowe bojówki ukraińskie. W wyniku napadu zginął (w wieku 44 lat) zca dcy baonu saperów kpt.

## Wystąpienie Gomułki zawierało swoistą filozofię nienawiści

**S**ŁOWA zostały wypowiedziane i rzeczywiście wzmocniły represje — wspominał Jan Manugiewicz. — Kierunek tych represji objął również wieś i uderzył nie tylko w niedobitków NSZ, ale również w ludowców. Uderzył w lewicę ludową, lewicę autentyczną [...]. Lewica ta wysunęła pewne zastrzeżenia, ale po zaspokojeniu tych zastrzeżeń pracowały z nami niewątpliwie uczciwie. Byli to ludzie jednodniowcy, chcieli sytuacji jasnej i w ramach tej sytuacji na pewno byłiby niezawodnymi naszymi sojusznikami. Sojuszników tych wówczas straciliśmy. [...] Kierunek aresztowań ludowców był dosyć dziwny, bo uderzał w najlepszy element”.

Jan Manugiewicz bierze też w obronę Andrzeja Witosa, którego krytyczny stosunek do poczyną PKWN opierał się na realnej ocenie ówczesnej rzeczywistości: „Mówiono, że Andrzej Witos to nie Wincenty — i rzeczywiście Andrzej Witos nie przypominał inteligencją swojego brata stryjecznego, ale był to chłop rozsądny, patrzył na życie realnie i wiedział, że ten kurs jest kursem niesłychanie niepokojącym i że za niego trzeba będzie drogo zapłacić. W jakiś sposób, będąc w ZPP, zapewne przeciwstawiał się temu kursowi, ale niewiele mógł zdziałać, fala była tak namiętna, że na pewno głos ten był odrzucony, jako jednego z nielicznych, psujących normalny nastrój. Po przyjeździe do Lublina chodził nawet do ambasady radzieckiej, chcąc wpłynąć jakoś na zmianę kursu, zostało to jednak potraktowane jako haniebny krok, czemu dał wyraz Jędrzychowski w rozmowie ze mną na ten temat w Moskwie”.

Manugiewicz, który — jak twierdzi — rozmawiał dosyć często w okresie lubelskim z A. Witosem, inaczej odbierał jego wizyty u radzieckiego przedstawiciela przy PKWN: „Nasza ocena wtedy była jednak tego rodzaju, że to nie było krokiem haniebnym i na pewno nie było zdradą, chociażby z tego względu że w tym jeszcze wczesnym składzie, kiedy był Bułganin, stanowisko ambasady było bardziej życzliwe dla spraw polskich, aniżeli dużej części aktywu par-

tyjnego. Smutne to słowa, ale prawdziwe. Później dopiero skład ambasady był gorszy”.

Jan Manugiewicz, świadek lubelskiego października 1944 r. przytacza również opis próby dialogu PKWN z niektórymi przedstawicielami kleru: „Wende, który pełnił funkcję sekretarza PKWN, zrobił mi propozycję uzgodnioną z kierownictwem PKWN-u, żebym pojechał do pewnego księdza, który uchodził za liberalizującego, nazwiska jego nie pamiętam, i żebym przeprowadził z nim rozmowę. [...] Rozmowa odbyła się w jakimś klasztorze, nie pamiętam jakim, ale było to tuż pod Lublinem. Jechaliśmy w każdym bądź razie przez Majdanek. W opustoszałym klasztorze natrafiliśmy wreszcie na jego pokój — duży gabinet, widać, że to jego miejsce pracy. Ksiądz był podrasowanym inteligentem, pochodził z pewnością ze starej inteligencji polskiej. Był wysoki, z ładną postawą. Rozmowa z nim była niepowierzchnowa, prowadziłem ją w sposób dość wglębny. Jego reakcja na nią była taka, że rozplakał się, wstał, objął mnie i zaczął mówić z żalem i pretensją, że dzieje się przecież źle, że tyle jest niepotrzebnej nienawiści — mówił z pozycji Franciszka z Asyżu — ale widać było, że jest księdzem z pewną postawą filozoficzną, a nie prymitywnym religijnym dewotem. Wtedy jednak odmówił z nami współpracy, uzasadniając to, że to, co się w tej chwili dzieje, a było to już w okresie masowych aresztowań, jest nie do przyjęcia i nie widzi obecnie możliwości współpracy. Mówiąc nam to, z jego piersi wydobywał się taki szloch serdeczny. To nie była żadna scena udana, to było szczere”.

10 października 1944 r. sekretarz generalny PPR, Władysław Gomułka, w ważnym przemówieniu programowym, adresowanym do uczestników narady aktywnej tej partii, ocenił aktualną sytuację społeczno-polityczną i wynikające z niej zadania dla komunistów. Wystąpienie Gomułki zawierało swoistą filozofię nienawiści. Miała ona uzasadnić konieczność stosowania represyjnego kursu wobec społeczeństwa.

Pierwsza z przedstawionych też dowodziła, że naród

polski zawdzięcza wyłącznie PPR zorganizowanie podziemnego ruchu oporu w okupowanej przez Niemców Polsce: „Szczuci i prześladowani z dwóch stron, przez hitlerowskich oprawców i przez polską reakcję (przy czym ta ostatnia była dla nas bardziej niebezpieczna niż okupant), potrafiliśmy szeroko rozwinąć sztandar walki o wyzwolenie narodu, pociągnąć do tej walki dziesiątki i setki tysięcy najlepszych synów i córek narodu polskiego”.

Druga istotna teza, sformułowana przez Gomułkę, oparta została na manipulowaniu słowem „reakcja”. Określeniem tym objął on wszystkie główne siły po-

# ZWROT

### Janusz Wrona

lityczne Polskiego Państwa Podziemnego będące razem w opozycji do koncepcji komunistycznych. Kłęska tak rozumianej reakcji, czyli tzw. obozu londyńskiego, była — zdaniem Gomułki — przesądzona.

Dowodził on również, iż PPR była jedynym konsekwentnym rzecznikiem odbudowy demokratycznego państwa polskiego. Prognozował, że demokracja jako idea zwycięży w Polsce i Europie. Nie precyzował jednak, co rozumie pod tym pojęciem jako reprezentant komunistów. Zauważał natomiast, iż „świat wkroczył na szeroki gościniec demokracji ludowej, demokracji nowego typu, nie podobnej do tej, która istniała przed wojną. [...] Promotorem tej nowej demokracji jest klasa robotnicza na czele z partiami konsekwentnie marksistowskimi”. Zawłaszczając i monopolizując dla swojej formacji politycznej pojęcie „demokracja”, Gomułka nie szczędził swoim politycznym przeciwnikom określenia „reakcja”.

W swoim wystąpieniu „Wiesław” konsekwentnie pozbawiał Armię Krajową należnych jej atrybutów



piech. Bazyli Sobolew (macierzystą jego jednostką był 85 pp) oraz siedmiu saperów. Wszyscy pochowani zostali w zbiorowym grobie na cmentarzu w Parczewie. Niewykluczone, że wymieniony wyżej por. rez. Erwin Poznański zginął w nocy z 28 na 29 września, razem z patroliem saperów.

Po walkach SGO „Polesie” pod Kockiem, żołnierze, którym udało się uniknąć niewoli, wędrowali z pola walki różnymi drogami w kierunku swych miejsc zamieszkania. Na swoje nieszczęście, wielu z nich przemierzało się przez wspomniany Kodeńiec. Mieszkańcy tej wsi wymordowali co najmniej kilkunastu (według innych informacji, przeszło dwudziestu) bezbronnym żołnierzom.

Przewódcami kodeńskich bojówek ukraińskich i przypuszczalnie współwinnymi popełnianych napadów i dokonywanych zbrodni byli m. in.: Bazyli (ojciec) i Władysław (syn) Kureszowie, zamieszkali w domu nr

Najwyższej ZSRR, o przyłączenie wschodniej Lubelszczyzny (oczywiście z Kodeńcem) do ZSRR.

W okresie pobytu Armii Radzieckiej na Lubelszczyźnie jesienią 1939 roku w niektórych miejscowościach, głównie o przewadze ludności ukraińskiej, organizowano

#### uroczystości „pogrzebania Polski”.

Jedne z takich obchodów odbyły się w Lubieniu (18 km zach. od Włodawy) gdzie pogrzebano — jako symbole Polski — godło państwowe, jakiś polski sztandar i dwa żołnierskie hełmy. W miejscu grobu „jaśniepańskiej Polski” usypano kilkumetrowy kopiec, do którego rozsypania w roku 1945 mieszkańcy wsi zostali zmuszeni. W tej samej wsi późną jesienią (w listopadzie?) 1939 r. zamordowano miejscowego księdza (zwłoki znaleziono dopiero wiosną następnego roku w lesie w kierunku Marianki), a kościół przez okres wojny pełnił funkcję cerkwi prawosławnej.

## NA LUBELSZCZYŹNIE

43; nie spokrewniony z wymienionymi wyżej Bazyli (Wasył) Kuresza, za współpracę z okupantami na szkole narodu polskiego skazany na śmierć z wyroku sądu Polskiego Państwa Podziemnego (wyrok wykonano we wsi Lubiczyn koło Kodeńca); Aleksander i Jakub (Jaszka) Maniukowie (Moniukowie?); Jan Tureniec, przezywany „Łoskoszyniec” zamieszkały w domu nr 5; Paweł Tureniec, przezywany „Braciunio”, zamieszkały w domu nr 35 i inni.

Znaczna część zwłok pomordowanych w Kodeńcu żołnierzy SGO „Polesie” zakopana została w stodole Bazylego Kureszy, zamieszkałego w domu nr 43. Mieszkańcy w Warszawie wspomnieli wyżej Władysław Kuresza, syn Bazylego, sprzedal w latach siedemdziesiątych stodołę na terenie rodzinnego gospodarstwa. W czasie prowadzonych prac rozbiórkowych natrafiono na liczne szczątki ludzkich kości (czaszki, piszczelki). Pracujący przy rozbiórce sprowadzili podobno do odkrycia milicję i prokuratora, ale sprawa została szybko „wyciszona”. Wydobyte szczątki ludzkie pogrzebano prawdopodobnie na cmentarzu w Parczewie.

Wymienieni wyżej i inni współwinni zbrodni, popełnionych w 1939 roku, byli przed wojną członkami lub przynajmniej sympatykami Komunistycznej Partii Polski (w Kodeńcu istniał tzw. podziemny komitet KPP), a po jej rozwiązaniu — Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. W roku 1944 wstąpili — podobnie jak kilku innych mieszkańców Kodeńca — do Armii Ludowej, a następnie zasiliли szeregi funkcjonariuszy UB w Parczewie, Lubartowie i innych miejscowościach północnej Lubelszczyzny, dochodząc nawet do stanowisk szefów powiatowych urzędów BP. Wielu z nich stało się również aktywistami i pracownikami różnych instancji PPR i PZPR, wielokrotnie w następnych latach wyróżnianymi wysokimi państwowymi odznaczeniami.

Warto jeszcze przypomnieć, że wieś Kodeńiec była jedną z nielicznych na Lubelszczyźnie komunistycznych miejscowości (a może nawet jedyną), której mieszkańcy, w tym również niektórzy wymienieni wyżej, wystosowali w 1945 roku petycję do Prezydium Rady

Armia Radziecka popełniła wiele zbrodni w okresie opuszczania Lubelszczyzny, wycofywania się za Bug w październiku 1939 r. Oddawanie terenów między Wisłą i Bugiem Niemcom, stworzyło wśród czerwonarmistów poczucie, a nawet dawało

#### pewność zupełnej bezkarności

za popełnione na tym terenie w ostatnich chwilach przed odejściem gwałty, rabunki i zbrodnie. W większości ofiarami była polska ludność cywilna, ale znane są również przypadki masowych mordów rabunkowych ludności żydowskiej oraz zabójstw pojedynczych żołnierzy i rozproszonych grup z polskiej armii, znajdujących się na terenach nadbużańskich.

W pierwszych dniach października idące na wschód od strony Piasków Luterskich oddziały Armii Czerwonej rabowały po drodze okoliczne majątki. Zahaczyły m. in. o dwór w Swierszczowie (ok. 20 km wsch. od Łęcznej). Czerwonarmięci wtargnęli do majątku, obrabowali dwór, zgwałcili jedną z córek właściciela i zamordowali jej brata, usiłującego bronić siostry i dobytku.

W tym samym czasie, tj. na początku października, wycofujący się czerwonarmięci zabrali ze sobą kilkanaście rodzin hrubieszowskich Żydów, którzy w obawie przed Niemcami zamierzali udać się za Bug, na tereny okupacji radzieckiej. Żydzi wzięli ze sobą na furach cały posiadany dobytek, a były to rodziny dość bogate (np. kupcy Husman i Ratniewski, właściciel lombardu Grinberg i inni). W Teptiukowie (4 km póln. wsch. od Hrubieszowa) „opiekujący” się transportem oddziały Armii Czerwonej wymordował wszystkich (przeszło 50 osób, w tym wiele kobiet i dzieci) i zrabował cały wieziony majątek. Zwłoki ofiar mordercy przywieźli nocą na cmentarz wojskowy w Hrubieszowie i polecieli je pochować grabarzowi Szydłowskiemu i przypadkowo złapanym dwóm mężczyznom. Po zakopaniu zwłok w zbiorowym grobie zastrzelili dwu przypadkowych grzebiących, a grabarz — znający cmentarz i obawiający się takiego zakończenia „pogrzebu” — zdołał uciec. W miejscu pogrzebania Żydów zlokalizowano w końcowym okresie wojny groby wojskowych i zatarto w ten sposób ślady zbrodni.

Po 10 października w rejonie Włodawy zamordowany został przez Armię Czerwoną (dokładne miejsce śmierci i pogrzebania nieznane) mjr piech. Józef Balcerzak, w okresie kampanii wrześniowej dca batalionu marszowego 76 pp (lidzkiego). Przybył w rejon Sarn transportem w ramach grupy operacyjnej „Grodno”. Po odcieciu przez Armię Czerwoną dalszej drogi na Lwów dołączył wraz z batalionem do wycofującej się na zachód grupy wojsk (głównie KOP-u) gen. W. Orlika-Rückemanna. Uczestniczył w walkach tej grupy, toczonych z Armią Czerwoną pod Wytoczem w dniu 1 października. Po rozwiązaniu grupy (po bitwie wtyckiej) nie zrezygnował z dalszej walki, dołączył do koncentrujących się w rejonie Kocka wojsk SGO „Polesie” gen. F. Kleberga, brał udział w ostatnich walkach WP na terenie kraju i po kapitulacji dostał się do niewoli niemieckiej, z której udało mu się uciec w Radomiu. Dążąc do miejsca zamieszkania, przy próbie przekraczania Bugu został ujęty przez czerwonarmistów i zastrzelony w nieznanym miejscu. Być może żyją jeszcze świadkowie tego wydarzenia, którzy mogliby wskazać grób mjr Balcerzaka?

Na Lubelszczyźnie jest jeszcze wiele nie wymienionych wyżej miejscowości, gdzie popełnione zostały morderstwa na żołnierzach WP i ludności cywilnej przez Armię Czerwoną i wspomagającą ją miejscową „piątą kolumnę”.

Istnieją doniesienia o zastrzeleniu kilku (kilkunastu?) żołnierzy WP przez czerwonarmistów w Serebryszczu (Srebryszczu) k. Chełma. Ponieważ była to wieś w znacznej części ukraińska, nastąpiła w latach wojennych i powojennych taka wymiana ludności wsi i zmiana stosunków własnościowych, iż znalezienie mogił i zebranie wiarygodnych informacji jest praktycznie niemożliwe.

We wsi Teratyn (16 km póln. zach. od Hrubieszowa) w końcu września czerwonarmięci zamordowali podobno kilku żołnierzy WP. Informacja ta nie jest jeszcze w pełni sprawdzona i udokumentowana.

W Komarowie (17 km póln. wsch. od Zamościa) i okolicy Armią Czerwoną zastrzelili kilku (kilkunastu?) żołnierzy WP. Niektórzy z nich pochowani zostali na cmentarzu parafialnym w Komarowie, w kwatery poległych i pomordowanych we wrześniu 1939 r. żołnierzy polskich. Niestety, napisy na grobach nie wyróżniają żołnierzy, którzy zginęli z rąk czerwonarmistów nie w walce, ale po jej zakończeniu. Prawdopodobnie spoczywają oni w pierwszym rzędzie mogił wspomnianej kwatery, ale wymaga to jeszcze wyjaśnienia i udokumentowania.

W okolicy Piszczaca (20 km póln. wsch. od Białej Podlaskiej) wymordowana została przez miejscową ludność duża grupa (kilkunastu) żołnierzy WP. Groby ich znajdują się na cmentarzu w Połoskach. M. in. donosiła o tym w liście do redakcji „Relacji” czytelniczka z Piszczaca, którą autor prosi o nawiązanie kontaktu.

Zwracamy się również z serdeczną prośbą o informacje do wszystkich, którzy mogą dołożyć nowe fakty do przedstawionego tematu, względnie uzupełnić lub sprostować wiadomości zawarte w opublikowanych dotychczas artykułach z cyklu „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie”.

#### (Koniec odcinka 7. — dokończenie nastąpi)

W następnym odcinku m. in. o wytyczeniu na terenie Lubelszczyzny porozbiorowej granicy między Związkiem Radzieckim i Rzeszą Niemiecką.

główną siłę wojskową i polityczną oraz zastęp wódc państwa i narodu. Przenosił je natomiast na PPR i Armię Ludową. Kierowany przez „reakcję” rząd RP w Londynie i AK miały wręcz współpracować z Hitlerem: „A czyż nie było współpracą z Niemcami oficjalne poparcie przez emigracyjny rząd londyński i całą jego prasę hitlerowskiej prowokacji katyńskiej? Czymże było długoletnie hasło reakcji »stania z bronią u nogi«, zakazywanie oddziałom AK i całemu narodowi niszczenia torów i wysadzania pociągów?”

Konstrukcja myślowa, którą zaprezentował w swym wystąpieniu Władysław Gomułka, była dość przejrzys-

społeczeństwa. Jak dotkliwie zderzały się one ze świadomością dziesiątków tysięcy Polaków, zaangażowanych w tworzenie i funkcjonowanie Polskiego Państwa Podziemnego. I jak ogromnie wpłynęły na kształtowanie w PRL stereotypu okupacji i wyzwolenia w 1944 r.

Ale przywódcy PPR nie interesowała prawda historyczna, czyli zgodna z rzeczywistością rekonstrukcja przeszłości — ten obszar miał być traktowany wybiórczo i instrumentalnie, by wydobyc zeń wartości i wyobrażenia niezbędne dla realizacji bieżących celów politycznych komunistów. O „prawdziwości” stwier-

Ale „Wiesław” nie każe słuchaczom obawiać się reakcji: „Obóz demokracji i PKWN nie zawahają się zastosować takich środków, by raz na zawsze zlikwidować te zbrodnicze zakusy”. Miesiąc później na łamach „Trybuny Wolności”, w artykule adresowanym do całego społeczeństwa pt. „Reakcja mierzy w Polskę”. W. Gomułka napisze: „[...] obóz demokracji podejmie walkę z reakcją i zniszczy, bezlitośnie zniszczy reakcyjnych obrońców obszarnczo-kartelowych, ozonowych rządów”.

Oceniając sytuację, która wytworzyła się w październiku 1944 r., cytowany już obserwator ówczesnych wydarzeń, J. Manugiewicz, wspominał: „PKWN ulokował się przy ulicy Spokojnej, ale nazwa ulicy była w konflikcie z rzeczywistością, bo zaczęło się dziać niespokojnie”.

Rozwój ówczesnych wydarzeń należy ściśle wiązać z międzynarodowymi działaniami ZSRR na rzecz wzmocnienia pozycji PKWN i utrwalenia swoich wpływów w Polsce.

10 października 1944 r. do Moskwy przybył ponownie premier rządu RP w Londynie, Stanisław Mikołajczyk, by zawrzeć porozumienie ze Stalinem na warunkach sformułowanych w polskim memorandum z 30 sierpnia 1944 r. Dla S. Mikołajczyka i rządu polskiego w Londynie były to pertraktacje „ostatniej szansy”.

Stalin nie zaakceptował przywiezionych propozycji. „Podstawowe jego argumenty — pisał Krystyna Kersten w pracy »Narodziny systemu władzy« — to brak uznania linii Curzona jako granicy polsko-radzieckiej i ignorowanie faktu, iż w Polsce faktycznie rządzi PKWN. Odrzucił też Stalin kompromisową formułę Churchilla, który domagał się, by Mikołajczyk zaakceptował 1) przyjęcie linii Curzona jako de facto granicy wschodniej Polski z prawem ostatecznego przedyskutowania tej sprawy na konferencji pokojowej i 2) przyjazne uzgodnienie z Komitetu Wyzwolenia Narodowego sprawy powołania do życia zjednoczonego rządu polskiego. Stalin żądał, by linia Curzona została uznana jako podstawowa przyszłej granicy polsko-radzieckiej bez żadnych warunków czy zastrzeżeń”.

(Koniec odcinka 3. — cdn.)

## PAŹDZIERNIKOWY 1944

ta. Pokazanie dominującej roli PPR w tworzeniu ruchu oporu, werbalna akceptacja demokracji i manipulacje tym pojęciem w połączeniu ze zdezawuowaniem AK (wszystkimi dostępnymi środkami) jako rzeczywistego hegemonu Polskiego Państwa Podziemnego, miały służyć uzasadnieniu przed społeczeństwem i opinią międzynarodową faktu przejęcia władzy przez komunistów. I tak też formułował to przywódca PPR, ogłaszając niejako katalog uzasadnień, mających legitymizować nową władzę w kategoriach moralnych: „Nasza krew i życie leżą u podstaw odradzającej się Polski. Byliśmy pionierami jej wyzwolenia, przez walkę i krew zdobyliśmy sobie prawo decydowania o jej obliczu, o jej przyszłości. [...] Dlatego to na nas przede wszystkim zwrócone są dzisiaj oczy całego społeczeństwa. Z otuchą, wiarą i przyjaźnią patrzą na nas szerokie masy pracujące”.

Jakże fałszywie brzmią dziś słowa Gomułki, odczytywane z perspektywy historycznej, uwzględniającej wiedzę naukową o polskim ruchu oporu i postawach

dzeń „Wiesława” miała decydować ich praktyczna użyteczność oraz system wartości akceptowanych w PPR.

By jednak utrwalić w świadomości prezentowany stereotyp AK i Polskiego Państwa Podziemnego, trzeba było „reakcję” nie tylko napiętnować werbalnie, lecz unicestwić fizycznie. W tym celu należało tak określić przymioty wroga, by nie budziło wątpliwości słuchaczy. Gomułka nie mówi wprost, że wrogiem jest AK. Posługuje się słowem — magicznym zaklęciem: reakcja. To ona potęguje swą propagandę oraz „wicherzycielską i zbrodniczą robotę”. Ona też „widząc, że traci grunt pod nogami, że wezwania do sabotażu i do nierespektowania zarządzeń władz państwowych nie przynoszą pożądanego dla niej rezultatów, chwytając się zbrodniczych metod terroru. Mordercy skrytobójcze, popełniane w różnych częściach kraju na działaczach naszej Partii, dowodzą, że reakcja gotowa jest pójść na każde szaleństwo, w ślepych dążeniu do ratowania straconych pozycji”.



## Chciał kupić dolary za 40 milionów

**D**OLARY, bony? Sprzedać, kupić? — powtarza beznamiętnym głosem młody człowiek ubrany w „blue jeans”. Dolary, bony...

Dzisiaj ma fart. Sprzedał już dwie setki „zielonych”, kupił sto pięćdziesiąt. Nieźle, jak na jeden dzień. Do zamknięcia kantoru pozostało jeszcze dwie godziny. Ruch duży, coraz to ktoś wchodzi i wychodzi. Ludzie dadzą zarobić.

— Złe nie jest — mówi zagadnięty konik. — Da się żyć. A ty co — pyta po chwili — z policji jesteś, że tak wy-pytujesz?

— Z „Relacji” — odpowiadam. Macha ręką, bo właśnie trafił się klient. Chce sprzedać. Podobizny Waszyngtona i Skłodowskiej wędrują z kieszeni do kieszeni. Dwadzieścia „zielonych” poszło po 7300 zł. 200 zł drożej niż skupują w kantorze. Fart trzeba wykorzystać, bo jak dolar spadnie, to w lew weźmie całodzienny zarobek.

Wchodzę do prywatnego kantoru wymiany walut przy Pstrowskiego. Przy kasie kilka osób. Kupują. Sumy nie-duże. 20—40 dolarów. Czasami ktoś szarpnie się na setkę. Inni sprawdzają na tablicy aktualny kurs dolara. 7100 zł — skup, 8300 zł — sprzedaż. 1200 zł różnicy. To dużo. Jest piątek, 13 października 1989 r.

Właściciele kantoru nie mają specjalnej ochoty na rozmowę. O pieniądzu, zwłaszcza dużym, nikt nie lubi rozmawiać. Nalegam. Zgadza się, ale w poniedziałek i bez nazwisk. Jak ktoś zechce koniecznie się dowiedzieć, to przyjdzie i przeczyta na szyldzie — twierdzą. Reklama im niepotrzebna. Po co wywoływać wilka z lasu.

Idę do „konkurencji”. Studenckie Biuro Usług ZSP Student Service przy Narutowicza prowadzi kantor dopiero od 20 września. Są na rozruchu.

— Zaczęliśmy skromnie — mówi dyrektor oddziału Marek Różycki. — Nasz kapitał wynosił zaledwie 10 milionów. To praktycznie tyle, ile jednocześnie może mieć przy sobie konik.

Działają niespełna miesiąc, ale już zdążyli się zorientować, że obrót twar-dą walutą daje dużo lepsze wyniki finansowe niż wszystkie inne usługi świadczone do tej pory przez Student Service. To się po prostu opłaca. Trzeba tylko wiedzieć, co i jak. A oni się szybko uczą. Chociaż dolarowa huśta-wka nigdy nie pozwala wszystkiego do końca przewidzieć. Inflacja robi swoje. Ceny skaczą z dnia na dzień, tak, że kurs dolara potrafi zmienić się w ciągu kilku godzin nawet o tysiąc złotych. Żonglerka jak w cyrku. Byłe nie prze-holować.

Nie ukrywają, że kantor przy Pstrowskiego jest dla nich punktem odniesienia przy ustalaniu ceny skupu i sprzedaży. Chcą być konkurencyjni. Więcej zapłacić i taniej sprzedać. Przy dziesięciu dolarach (7200 zł — skup, 8000 zł — sprzedaż) różnica jest niewielka, ale przy stu?

— U nas nie ma jeszcze takiego ruchu jak na Pstrowskiego czy w PKO — tłumaczy Marek Różycki. — Nie wszyscy zainteresowani wymianą wiedzą, że istniejemy. Legalny rynek dolarowy dopiero się rozkręca. Powstają nowe kantory. Ustawa o prawie dewizowym weszła w życie siedem miesięcy temu. Ludzie muszą się przyzwyczaić do tych zmian.

— Nie znaczą to jednak — dodaje — że czekamy na klientów z założonymi rękami. Przygotowujemy specjalną akcję reklamową, która, jak sądzą, przyniesie wymierne efekty.

Na razie obrót dzienny nie przekracza 400—500 dolarów, ale zdarzały się i takie dni, kiedy dochodził do tysiąca. Tak twierdzi dyrektor. W przyszłości zamierzają, m.in. w ramach sprzedaży walut, płacić studentom za usługi w dolarach.

W poniedziałek jestem ponownie na Pstrowskiego. Przed wejściem do kantoru — ten sam, kilkudziesięciosobowy tłumek mężczyzn oferuje swoje usługi. Już wiem, że „zielone” poszły w górę. Dzisiaj obowiązują nowe, wyższe ceny samochodów w złotych. Sprawdzam w tabeli: 8200 zł — skup, 9000 zł — sprzedaż.

Siadamy z właścicielami przy małym stoliku na zapleczu. Cały kantor prowadzi dwa małżeństwa. Dodatkowo zatrudniają dwie kasjerki, które przeszły do nich z państwowych kas walutowych.

— Tylko niech pan nie pyta o pieniądze — zastrzegają się od razu na wstępie. — I tak nie powiemy, ile włożyliśmy na rozkręcenie tego interesu.

Zaczynali od handlu artykułami metalowymi. Nie wyszło. Kłopoty z dostawcami zmusiły ich do szukania bardziej intratnego zajęcia. Zrobili przymiarkę do kosmetyków, ale po rozpoznaniu rynku stwierdzili, że się nie opłaca. Spróbowali ze sprzedażą anten satelitarnych i zachodniego sprzętu telewizyjnego, łącznie z dostawą do domu klienta. Klient musiałby jednak płacić dolarami, a oni nie mieli własnej kasy walutowej. Chodzenie do PKO i z powrotem było nie do przyjęcia. Zrezygnowali i z tego. Ale pomysł z obrotom „dolarami „chwycił” i 31 lipca 1989 r. otworzyli w Lublinie pierwszy prywatny kantor wymiany walut.

# PREZYDENT ZA WYSPIAŃSKIEGO

## Zbigniew Dzięciołek



Fot. Waldemar Stępień

— Na początku — mówi pani Zofia — przez tydzień utrzymywała się stała cena, a teraz w ciągu dnia zmienia się kilkakrotnie. Dla nas byłoby najlepiej, gdyby kurs dolara był stabilny, bo ryzyko zawodowe sprowadzało by wtedy praktycznie do zera. Tak jednak nie jest. Stąd różnica między kupnem a sprzedażą przekracza czasami nawet tysiąc złotych. Pozwala to nam uniknąć skutków niespodziewanego spadku cen dolara.

— Rano, ustalając kurs — dodaje — musimy znać notowania ze wszystkich większych miast w Polsce, a przede wszystkim z Lublina. Wiedzieć o planowanych podwyżkach cen samochodów i alkoholu. Przewidywać wszystkie ważniejsze posunięcia rządu. Lektura gazet, oglądanie dzienników szczególnie nocnych, dopełniają całości obrazu. Staramy się, aby skup był zrównoważony ze sprzedażą. Duże wahnięcia w jedną czy drugą stronę mogą nas drogo kosztować.

— A zyski? — pytam. Są. I to znacznie przekraczające średnią krajową. Wprawdzie moi rozmówcy nie chcieli powiedzieć, jak duże dochody przynosi kantor, ale to, co widziałem i o czym mówili właściciele, pozwala mi stwierdzić, że kantor jest kurą znoszącą złote jaja.

Dziennie przychodzi tu około 100—150 osób. Część z nich pyta tylko o ceny, ale przynajmniej połowa dokonuje transakcji. Na ogół jednorazowo zakupy bądź sprzedaż nie przekraczają 100 dolarów, chociaż zdarzają się też sumy znacznie większe. Rekord padł zaraz na początku ich działalności. Zjawił się klient, który chciał kupić dolary za ponad 40 milionów złotych. Nie mieli tyle w kasie. Koniki zgarniają im dosłownie sprzed nosa znaczną część dolarów i bonów, a przecież żadnych podatków nie płać. To czysty zysk. Ich nie obowiązuje 10-procentowy podatek od obrotów i 40-procentowy od dochodów. Ktoś mógłby się tym zająć — podsumowują.

Dużo łatwiej byłoby im pracować, gdyby mieli telefon. — Jak w takich warunkach można normalnie prowadzić interesy — denerwuje się drugi współwłaściciel pan Krzysztof. — Ludzie przychodzą, pytają się po kilka

razy dziennie o ceny, a przecież wystarczyłby jeden telefon.

— Dla nas to też jest bardzo uciążliwe — dodaje. — Musimy jeździć kilkakrotnie w ciągu dnia do domu, żeby móc dowiedzieć się na przykład o zmianie cen w Warszawie, a względy bezpieczeństwa? Pisaliśmy, prosiliśmy i jak na razie, nic z tego nie wyszło.

Wychodzę z kantoru. Przed wejściem spotykam znajomego. Marek pracuje na państwowej posadzie, a że mieszka w pobliżu, więc „dorabia” sobie po godzinach.

— Piatdzieciat — targuje się językowym łamańcem z dwiema Rosjankami o złote kolczyki.

Kobiety, nie bardzo przekonane są co do ceny, kręcą głowami.

— No, bolsze nie wazmiesz — argumentuje Marek i wciska im do ręki pięćdziesiąt tysięcy złotych. Kolczyki są jego.

Rozmawiamy krótko, bo, jak twierdzi Marek, czas to pieniądz. Z konieczno-

ści więc przechodzę przyspieszony kurs na konika. Bez 3—4 milionów złotych i przynajmniej dwóch setek „zielonych” nie ma po co tu przychodzić. Reszta zależy od własnej inwencji. On w ciągu miesiąca zawsze do państwowej pensji „dorobi” te 200—300 tys. zł. Zawodowcy wyciągają przynajmniej dwa razy tyle.

Na narzekania właścicieli kantoru macha ręką. — Tak tylko gadają. Dla picu. Ale dopóki my tu jesteśmy, zawsze mogą zaniżać swoje dochody. Podatki wychodzą wtedy znacznie taniej — kończy.

Na Langiewicza, w wydzierzawionym pokoiku od ZSP, pusto. Kantor prowadzi spółka „Lotus”. Nikogo z udziałowców nie zastałem, ale ceny tu jeszcze wyższe niż na Pstrowskiego: 8400 zł — skup, 9200 zł — sprzedaż.

Dwa dni później w I Oddziale PKO przy Krakowskim Przedmieściu rozmawiam z dyrektorem Władysławem Grochowskim.

Nie ukrywa, że jest to działalność przynosząca duże zyski. Skup i sprzedaż walut stanowi około 20 procent dochodów z całej działalności jego firmy. Jak na półroczne istnienie kantoru — to dużo. Dzielne obrony przekraczają często 10 tysięcy dolarów, a podatki płać się w złotych. Dzięki temu rezerwy walutowe można wykorzystywać na własne potrzeby.

Pytam dyrektora Grochowskiego, czy nie można by zmniejszyć do minimum widełek między ceną kupną i sprzedażą tak, aby wyeliminować z rynku dzikich handlarzy dolarami.

— Dla mnie stu złotych „przebitka” w relacji kupno — sprzedaż jest nieopłacalna — mówi dyrektor. — Ja muszę na tym interesie zarobić, a różnica stu złotych nie gwarantuje mi nawet zwrotu poniesionych kosztów.

Przed PKO, jak przed wszystkimi kantorami wymiany, rej wodzą koniki. Już nie w bramach, ale wprost na chodniku setki dolarów i miliony złotych zmieniają właścicieli.

W całym województwie lubelskim funkcjonują 22 kantory wymiany walut, z tego 10 w Lublinie. Pozwolenie na obrót walutami, otrzymało 31 osób i instytucji, ale chętnych jest znacznie więcej.

# INFORMATOR KULTURALNY

## TEATRY

### W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 26—30.10, godz. 12, 18 (Scena Duża, ul. Narutowicza 17): „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.

Teatr Studyjny: 26—29.10, godz. 19 (sala BWA, ul. Narutowicza 4): „Dekameron” G. Boccaccia; reż. Miro Prochazka, scen. Vladimir Cap; chor. Frank Town. Informacje o biletach tel. 71-19-72, 55-37-63.

Teatr Lalki i Aktora 26—27.10, godz. 10; 29.10, godz. 12: „Ural Batyr” baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak. 26.10 w Bełżycach; 27.10 w Opolu Lubelskim: „Don Zan” anonim czeski; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny: 26.10, godz. 19 (Dom Kultury Kolejarza, ul. Kunickiego 35): „Paganini” Jerena Lehara.

## MUZYKA

### W LUBLINIE

Filharmonia — 26.10, godz. 19 — występ Orkiestry Symfonicznej Państwowej Szkoły Muzycznej im. Karola Lipińskiego pod dyrekcją Piotra Wijałkowskiego. Wystąpią: Imke Hoizapfel (flet prosty), Elena Lange (flet prosty), Anette Kleinwachter (flet poprzeczny), Paulina Jovanowska (flet poprzeczny), Dominika Faiger (skrzypce). Sio-wo — Teresa Księżka. W programie: IV Koncert brandenburski G-dur J. S. Bacha, Koncert G-dur na dwa flety proste i orkiestrę D. Cimarosa, Koncert na orkiestrę G. Bacewicz, „Orawa” W. Kilara. 27.10, godz. 19 — występ duetu gitarowego EL INCENDIO IBÉRIO w składzie: Waldemar Zaborski i Andrzej Świerkosz. Słowo — Stefan Münch. W programie utwory: A. Valdeiego, J. Ph. Rameau, Ch. G. Scheidlera, A. Segovii, I. Albeniza, H. V. Lobosa, M. de Falla, M. Granadosa.

## WYSTAWY

### W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu barwnego Zygmunta Czyży.

Muzeum na Zamku — wystawa pt. „Rozsądkie ikony końca XVIII — początek XX w.”; wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939”.

Muzeum Lubelskie (Brama Krakowska) — wystawa pt. „Ludzie i wydarzenia — 70 lat PKC na Lubelszczyźnie”. Galeria TPSP (ul. Grodzka 32,34) — wystawa grafiki, akwareli i projektów obwolut książek techniką sgraffito Władimira Romejki.

KUL (Aleje Raclawickie 14) — wystawa malarstwa Huberta Damona.

Wydział Pedagogiki i Psychologii UMCS (ul. Narutowicza 12) — wystawa pt. „Elementarne światła oraz sztuka dziecka” (czynna w piątek w godz. 10—14, w soboty w godz. 10—14; wycieczki po uzgodnieniu telefonicznym — tel. 222-66 w godz. 10—13).

Archiwum Państwowe (ul. Trybunalska 13) — wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci”.

Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Jana Skopa.

### W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Salon Wystawienniczy Muzeum Okręgowego — wystawa medalierstwa Zofii Demkowskiej i jej uczniów.

BWA — wystawa malarstwa (zbiory BWA w Białej Podlaskiej).

### W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa grafiki Leszka Róży.

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Stanisława Baja.

Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamienice Ormiańskie 26,28) — wystawa pt. „Ocalone dla przeszłości” (zbiory poddane konserwacji w latach 1975—1988).

# OGŁOSZENIA

BIURO Wynajmu Lokali 380-03.  
19256/GPR

VIDEO filmowanie 55-23-90.  
24606/G-2

KOŻUCHY, odzież skórzana —  
renowacja. Lublin, Miła 10.

23350/G-10

KRAŚNIK M-3 zdecydowanie  
sprzedam. Koszarowa 14/29.

24805/G



## Czwartek 26 X

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Glina z wyższych sfer” (4) — „Sekret” — serial krym. prod. ang.  
10.20 Domator  
10.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Kwant,  
17.15 Teleexpress  
17.30 Patrol — wojskowy magazyn public.  
17.55 Miasta świata: „Kuala Lumpur”  
18.25 Magazyn katolicki  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Dt  
20.05 „Glina z wyższych sfer” (4) — „Sekret” — serial krym. prod. ang.  
21.05 Pegaz  
21.45 Czas — magazyn public.  
22.15 XXXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Jazzowej — Jazz Jamboree '89  
23.00 Dt — echa dnia

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Psychozabawy  
18.00 Program lokalny  
18.30 „... piękno Wschodu, sztuka Wschodu” — reportaż z Chin  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 Zielone Kino: „Przyroda polska” — „Sekrety jeziora” — film przyr. prod. pol.  
20.00 Wielki sport  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Perły z lamusa: „Wehikuł czasu” — film science fiction prod. USA  
23.25 Komentarz dnia

## Piątek 27 X

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Córka albo syn” — film TVP  
10.35 Domator  
10.50 Program dnia i Telegazeta  
15.55 Intersygnal  
16.25 Dla młodych widzów: Rambit  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Raport  
17.50 Skarbiec  
18.30 Stop — magazyn konsumentów  
18.50 Weekend w „Jedynce”  
19.00 Dobranoc: Kret i jeź  
19.10 Monitor rządowy  
19.30 Dt  
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Wesoła wdówka” — film fab. prod. USA. Reż. Ernst Lubitsch.  
21.50 Kontrapunkt  
22.20 Otwarte studio  
23.20 Dt — echa dnia (w przerwie)  
23.35 Otwarte studio — c.d.

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Program public.  
18.50 Szansa: Dziewczyna miesiąca  
19.30 Dookoła świata: W Phnom Penh  
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny  
21.30 Panorama dnia  
21.50 „Romans z całkiem obcym mężczyzną” — film fab. prod. ang.  
23.30 Komentarz dnia

## Sobota 28 X

## PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.40 Magazyn katolicki  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Postrach miasta” (5) — serial prod. ang.  
10.30 Dt — wiadomości

10.40 „Wyprawa pod podszewkę Alp” (3) — serial dok.  
11.45 Powiększenie — fotomagazyn  
12.05 Z Polski rodem — magazyn polonijny

12.35 Szkoła mistrzów: Ryszard Ber

12.55 Radar

13.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Vercors — „Milczenie morza”.

14.10 Prezydenci: William Taft (1909—1913)

14.45 Telewizyjny informator wydawniczy

15.05 Komedie, komedie, komedie: „Misja specjalna” — prod. pol.

16.40 Do trzech razy sztuka — program rozr.

17.15 Teleexpress

17.30 Polska walcząca (5)

18.30 Butik

19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola

19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Długonogie

19.30 Dt

20.05 „Zostać gwiazdą” — film fab. USA

21.35 Telewizyjny przegląd sportowy

21.55 Tydzień w polityce

22.05 XXXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Jazzowej — Jazz Jamboree '89: The Modern Jazz Quartet

22.50 Telegazeta i jutro w programie

22.55—0.15 Kino sensacji: „Błądny trop” — film fab. prod. franc.

## PROGRAM II

11.00 Trzy godziny z TV Katowice

14.00 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży

15.25 W świecie ciszy

15.50 Małe kino: „Miasta świata” — „Dublin”

16.25 Telewizyjny koncert życzeń

16.55 Powitanie

17.00 Przychodzę do Was — recital Piotra Polka

17.30 Studio sport: Puchar Świata w akrobatyce sportowej

18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 Wielka gra

19.30 Alfa i omega: Testament z Lambarene

20.00 Chopin w barwach jesieni: VIII Festiwal Chopinowski w Antoninie

20.50 Muzyka i polityka: Pieśń skargi i przysięgi

21.30 Panorama dnia

21.45 „Chateauballon” (25) — serial fab. prod. franc.

22.40—22.45 Komentarz dnia

## Niedziela 29 X

## PROGRAM I

8.55 Program dnia

9.00 Dla młodych widzów. Telere- nek, a w nim „Janka” (6) — serial prod. pol.

10.30 Dt — wiadomości

10.35 Zwierzęta Europy (3) — serial przyr. prod. franc.

11.05 Kraj za miastem

11.35 Muzyczna telewizja: Rock-Express

12.00 Poranek symfoniczny WOSPRITV

13.00 Teatr dla dzieci: Jan Brzechwa — „Jaś i Małgosia”

13.40 Telewizyjny koncert życzeń

14.25 Sportowa niedziela

15.10 Antena

15.35 „Panna dziedziczka” (25) — serial prod. brazył.

17.15 Teleexpress

17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Raymond Chandler — „Zegnaj Malczko” (cz. I). Reż. Laco Adamik.

18.35 Agromarket

19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donalda

19.30 Dt

20.05 „Tanamera” (2) — serial fab. prod. ang.

21.00 Siedem dni: Świat

21.30 Sportowa niedziela

21.50 „Księżycowa droga” — film baletowy

22.35 Premiery po latach: „Oriano” i „Nokaut” — filmy dok.  
23.15 Telegazeta i jutro w programie

## PROGRAM II

9.25 Przegląd tygodnia dla niesłyszących

10.00 „Tanamera” (2) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)

10.50 Krótkofalowcy — program wojskowy

11.20 Lokalny koncert życzeń

11.45 Jutro poniedziałek

12.15 Powitanie

12.20 Polska Kronika Filmowa

12.30 „Polacy” — film dok.

13.15 100 pytań do...

13.55 Kino rodzinne: „Niebezpieczna zatoka” — serial przygod. prod. kanad.

14.50 Podróże w czasie i przestrzeni: „Baka — ludzie z dżungli” (2) — serial dok. prod. ang.

15.45 Dni Düsseldorfu w Warszawie

16.10 Mieczysław Pawlikowski — program filmowy Zofii Tomazy

17.00 Studio sport: Puchar Świata w akrobatyce sportowej

17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych

19.00 Publicystyka kulturalna

19.30 Zwierzęta wokół nas

20.00 Studio sport: Piłka w grze

20.50 „Niemoralność pani Dulskiej” — program rozrywkowy

21.30 Panorama dnia

21.45 „Wojna i pamięć” (10) — serial fab. prod. USA

23.00—23.05 Komentarz dnia

## Poniedziałek 30 X

## PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta

16.25 Luz — program nastolatków

17.15 Teleexpress

17.30 Gorące linie

18.00 „Wędrowki dalekie i bliskie” — „Anioł i barbarzyńca” — film dok.

18.45 10 minut

19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokazę

19.10 W Sejmie i Senacie

19.30 Dt

20.05 Teatr Telewizji: Stefan Żeromski — „Ponad śnieg bielszym się stanie”, reż. Krzysztof Babicki

21.25 Obok nas — reportaż

21.55 Wokół wielkiej sceny — magazyn operowy

22.45 Dt — echa dnia

## PROGRAM II

17.25 Program dnia

17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień

17.45 Ojczyzna-polszczyzna: O mannie i lewach

18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 Czarno na białym

19.10 Jazz Jamboree '89

19.30 Życie muzyczne

20.00 Auto — Moto — Fan — Klub

20.30 Osądźmy sami

21.15 Rozmowy o cierpieniu

21.30 Panorama dnia

21.45 Biografie: „Indira Gandhi” — film dok. prod. ZSRR

22.30 Dziś premiera: „300 mil do nieba” — film w reż. Macieja Dejtchera

## Wtorek 31 X

## PROGRAM I

9.25 „Akwen Eldorado” (2) — serial TVP

10.15 Domator

16.15 Program dnia i Telegazeta

16.25 Dla dzieci: Tik-Tak

16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (43)

17.15 Teleexpress

17.30 Spojrzenia

17.55 Klinika Zdrowego Człowieka

18.15 Mozaika narodowości — Gogolin

18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Wesołe przygody Pika, Kwika i wieloryba Grubaska

19.10 „Impresje lyczakowskie”

19.30 Dt

20.05 „Akwen Eldorado” (2) — serial TVP

21.00 System gospodarczy — program public.

21.30 „Taniec życia” — program muzyczno-poetycki

22.00 Studio Solidarność

22.45 Dt — echa dnia

## PROGRAM II

17.25 Program dnia

17.30 Klub ludzi z przeszłością

18.00 Program lokalny

18.30 Modlitwa wieczorna — transmisja z Jasnej Góry

18.50 „Ostatni z rodu”: Andrzej Cichanowiecki — reportaż

19.30 Blisko nieba

20.00 Studio Hi-Fi

21.00 „W kręgu sztuki” — „Dzieje fotografii” (4) — serial dok. ang.

21.30 Panorama dnia

21.45 „Zygryd” — dramat psychologiczny prod. pol.

23.20 Komentarz dnia

## Środa 1 XI

## PROGRAM I

8.55 Program dnia

9.00 Dla młodych widzów: „Lutra” — film fab. prod. węgier.

10.25 „Królewski rybak” — film przyr. prod. NRD

10.55 Cmentarz na Służewcu

11.15 „Została ziemia i... wspomnienia” — reportaż

11.40 „Anka Noego” — przyr. film prod. węgier.

12.50 „Na obcej ziemi boję się umierać” — program poetycki

13.20 „Deyna” — program dok.

13.45 Wędrowki dalekie i bliskie: „Życie w epoce kamiennej” — film dok. prod. belg.

14.20 „Transformacja” — program poetycko-muzyczny

15.00 Transmisja mszy św.

16.20 „Koniec świata” — film TVP

17.15 Teleexpress

17.30 Teatr Telewizji: Czesław Miłosz „Mówię do ciebie po latach milczenia”. Reż. Stanisław Zajaczkowski.

18.30 „Zerwa” — film dok.

19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki

19.10 Program publicystyki kulturalnej

19.30 Dt

20.05 Wojna i film: „Wielki wóz” — film TVP. Reż. Marek Wortman.

21.25 Studio sport: Puchar Europy w piłce nożnej

22.55 Muzyka w Leżajsku — gra Wojtek Wezranowski (organy)

## PROGRAM II

13.50 Powitanie

13.55 „Trzeci smok” — film science fiction prod. CSRS

15.15 „Okrucz lustra” — film TVP.

16.20 Ci, którzy odeszli (1)

16.30 Nie tylko muzyka — Warszawa Fryderyka Chopina (cz. 1)

17.30 „Ostatnia droga komendanta Ponurego” — film dok. Ewy Cendrowskiej

18.25 Ci, którzy odeszli (2)

18.30 „Msza wędrująca” wg Edwarda Stachury

19.15 Ci, którzy odeszli (3)

19.20 Epitafium — program poetycki

19.30 Werner Knaupp — przejście graniczne

20.00 Nie tylko muzyka — Warszawa Fryderyka Chopina (cz. 2)

20.50 Ci, którzy odeszli (4)

21.00 „Spotkanie po latach” — reportaż Andrzeja Androchowicza

21.30 Panorama dnia

21.45 „W labiryncie” — serial TVP

22.25 Ci, którzy odeszli (5)

22.35 Telewizja nocą

23.10 Ci, którzy odeszli (6)

23.20 Komentarz dnia

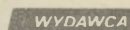
relacje



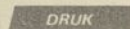
ADRES REDAKCJI  
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2  
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY  
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY  
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI  
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE



WYDAWCA  
Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.



DRUK  
Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa Książka Ruch” i urzędy

noczowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830

Zam. 1524. 16.10.1989. B-4.



## AD VOCEM

## BANITA

**B**ANITA to człowiek skazany na wygnanie. Słowo to (tak samo jak banicja — wygnanie) pochodzi ze średniowiecznej łaciny, chociaż kara wygnania znana była dobrze starożytności (w Rzymie: deportacja, relegacja lub exilium). A dzisiaj?

H. Pająk („Relacje” nr 35, s. 16) stwierdza, że w ostatnich 40 latach nie było u nas m.in. przewrótów pałacowych i banicji, chociaż w innym miejscu (s. 13) pisze o „kozłowieckich banitach” — zgromadzonych w dawnej stajni pałacu w Kozłowieckich pomnikach „bożków i bohaterów epoki stalinowsko-bierutowskiej”. Najświeższym banitą z tej grupy jest B. Bierut, którego pomnik, zwleczony z piedestału, został deportowany (znów ta wygnańcza terminologia) do Kozłówek (p. „Relacje” nr 34). Znikł też plac jego imienia, wykreśla się Bieruta ze spisów ulic i nazw, nie tylko w Lublinie.

Owa „damnatio memoriae” — potępienie pamięci czy inaczej: skazanie na niepamięć — towarzyszyła wygnaniu już w starożytności jako kara dodatkowa za szczególnie hańbiące przestępstwa przeciwko swemu państwu. Podlegała m.in. na usunięcie wszelkich wizerunków i wytarcie imienia skazanego ze wszystkich publicznych i prywatnych pomników. Odmawiano mu też przyzwoitego pogrzebu, a krewni mieli zakaz noszenia żałoby i pielęgnacji kultu zmarłego, łącznie z zakazem kontynuacji potępienia imienia.

Nie byli wolni od takiego potępienia sami cesarze. Już po śmierci Kaliguli postawiono wniosek, by w ogóle wymazać z pamięci ludzkiej imię Cezarowy oraz zburzyć ich świątynie. Za wroga ojczyzny uznany został Neron, zaś na niesławna niepamięć skazani zostali decyzyjnie senatu m.in. Domitian, Kommodus i Heliogabal.

Mógłby się więc pocieszyć nasz lubelski banita, że znalazł się w cesarskim w końcu towarzystwie. Czy to już ostatni jego awans społeczny?

Arcus M.

PS. W pięć lat po skazaniu cesarza Kommodusa na niepamięć ten sam senat rzymski zaliczył go w poczet bogów.

**Z**NOWU piszę w gniewie. Ponownie bowiem zostałem oszukany, żeby nie powiedzieć mocniej — okradziony. I tym razem jestem już całkowicie bezradny, bo wiem tym oszustem jest państwo. Co gorsza instytucja, która powinna być wzorem uczciwości i wszelkich innych ekonomicznych cnót — Narodowy Bank Polski.

Od lat posiadam w PKO — NBP (czasem to były — formalnie rzecz biorąc — dwie instytucje, czasem — formalnie — jedna, de facto zawsze był to — mający mnie gdzieś — państwowy monopolista) rachunek czekowy. Zalet tego, dziewiętnastowiecznego przecież wynalazku nie trzeba specjalnie zachwalać. Pozwala on na oszczędzenie wysiłku sprzedawcom (nie trzeba „robić kasy” i przewozić pod eskortą pieniędzy), kosztów bankowi emisyjnymu (produkcja znaków pieniężnych o nominalach poniżej 20 złotych jest w Polsce deficytowa), zmniejsza presję popytu na rynku oraz jest kredytem dla banku obsługującego konto. Korzyści, rzecz jasna, są dwustronne. Posiadaczowi rachunku odpadają kłopoty z płaceniem stałych rachunków za mieszkanie czy gaz, nie musi wystawać w kolejkach do kasy po pensję, ani biegać na pocztę po odbiór przekazów.

Z tych to prostych powodów obrót czekowy w cywilizowanych krajach już pięćdziesiąt lat temu przewyższał płatności gotówkowe. Od tego czasu stale się rozwija i upraszcza. I dzisiaj jego podstawowym narzędziem jest karta plastyczna, z którą można, nie zabierając ani grosza w gotówce, przejechać cały (cywilizowany) świat od Antyquy po Zanzibar, nie mając najmniejszych kłopotów z płaceniem za zakupy.

W Polsce z rachunkami czekowymi było gorzej. Oprócz wygód związanych ze zleceniem bankowi stałych płatności, inne korzyści praktycznie nie istniały. Trudno było traktować książeczkę czekową jako portfel, gdyż miejsc, gdzie można zapłacić czekiem, nie mieliśmy wiele. Dodatkowe limity takich

zakupów zawsze były absurdalnie niskie. Do połowy bieżącego roku można było jednak używać książeczki czekowej tak jak normalnej książeczki oszczędnościowej.

Kiedyś można było. Dzisiaj już nie. Z prostego powodu. Na rachunki czekowe przestały wpływać pieniądze. Ścisłej rzecz biorąc, docierają do nich z takim opóźnieniem, że — przy inflacji wynoszącej 1,5 procent dziennie — otrzymujemy ich znacznie mniej.

ZNOWU PISZĘ  
W GNIEWIE

Michał Zieliński

Ażebym nie być gołosłownym — przykłady osobiste. Przelew z RSW (ulica Jasna) szedł, a raczej pełzał, na Krakowskie Przedmieście 39 trzy tygodnie, czyli poruszał się z prędkością 1 metra na godzinę. Ponieważ główny udziałowiec RSW stoi na krawędzi bankructwa, były to jednak grosze i nie ma czego żałować. Jeżeli jednak moje zasadnicze dochody, płacone przez Uniwersytet 29 września, nie dotarły do 7 października do PKO, sprawa wygląda gorzej. To już jest grosz konkretny, w którego skład wchodzi i normalne wynagrodzenie, i ostatni etap wyrównania za pierwsze półrocze, i drugi etap wyrównania za trzeci kwartał, i pierwszy etap indeksacji za kwartał trzeci (dużo tego, ale nie ja wymyśliłem indeksację).

Początkowo przypuszczałem, że podwójna kara, jaka na mnie spada (państwowy pracodawca płaci mi ze

znacznym opóźnieniem, a państwowy bank dodatkowo zwleka z wypłatą), spotyka tylko mnie. No cóż, od dawna pogardliwie wyrażam się o „złotówce”, zwanej pieniądzem, i taka vendetta byłaby całkiem zrozumiała. Okazało się jednak, iż mój przypadek do wyjątków nie należy. Przeciwnie, jest jak najbardziej typowy.

Przeklinający klienci PKO („PKO — twoją kasą”) wypowiadają trzy hipotezy objaśniające to intrygujące zjawisko.

Pierwsza bazuje na wypróbowanych wzorcach mafijnej interpretacji dziejów. Według niej, potężna mafia stara się obalić rząd premiera Mazowieckiego i w tym celu stara się maksymalnie zdenerwować ludzi. Dlatego chowa zapalki, papierosy, zyletki i mydło oraz wstrzymuje pieniądze.

Według drugiej, to rząd właśnie wydał bankom ciche rozporządzenie opóźnienia wypłat przelewów, ażeby zarobić na inflacji i zredukować presję popytu wynikającą z wysokiej podwyżki (nominalnych) wynagrodzeń.

I wreszcie teoria trzecia (jak się wydaje, zbliżona do oficjalnej), wszystko tłumaczy pogorszeniem pracy poczty. Wyjaśnienie to jest bardzo wygodne dla banku, gdyż zdejmuje z niego ciężar

zar wina, ale z punktu widzenia mojego, czyli klienta — adresata, pretensji nie zmienia. Poczta — tak mi się przynajmniej wydaje — jest w Polsce także państwowa.

Nie piszę tego tekstu tylko po to, ażeby sobie ulżyć (chciaż, rzecz jasna, zadowolony to ja nie jestem). Nie piszę go również po to, ażeby uzyskać grzeczne wyjaśnienie dyrektora oddziału PKO, w którym to wyjaśnieniu będzie mowa o niedoinwestowaniu, braku personelu, wzroście obrotów itd. Wszystko to zapewne prawda. Nie ma jednak żadnego powodu, aby cokolwiek mnie to obchodziło. Każdy, kto weźmie do ręki rocznik statystyczny, obliczy (a i bez obliczeń jest to oczywiste), że — uwzględniając deprecjację pieniądza — realne zyski PKO są kolosalne. (Prasę obiegł przykład pani, która przez lata wpłacała dwóm synom na książeczki systematycznego oszczędzania. Po latach uskładała się suma wystarczająca na zakup spodni. Każdy z nich dostanie zatem po jednej nogawce). Było zatem z czego zarówno inwestować, jak i ludziom porządnie płacić.

Skoro jednak ileś tam osób jest — podobnie jak ja — nabijanych w bułkę i wpuszczanych w maliny, mam obowiązek ich przestrzec oraz zaproponować im jedyne sensowne wyjście. W istniejącej sytuacji rozsądek nakazuje zamrozić konta. To znaczy ograniczyć wpłaty nań do minimalnych kwot, wystarczających na finansowanie wydatków, które zlecieliśmy bankowi. Resztę zaś pieniędzy należy podjąć, włożyć do grubego portfela (który najlepiej zawiesić na sznurku na szyi i nosić pod koszulą) i latać z obłędem w oczach po mieście — a nuż uda się coś kupić!

Jest to — jak można sądzić — z indywidualnego punktu widzenia jedyne racjonalne wyjście.

A i PKO mieć wtedy będzie mniej pracy i nie będzie mogło narzekać na przeciążenie.

Tylko czy o to właśnie chodzi?

## LATARNIK

Henryk Pająk

**W**PEWNEJ przyleśnej wsi stał na wzgórku wiatrak słynny z dobrej mąki, czynny przeważnie nocami, bo właściciel był rolnikiem i w dzień nie miał czasu. Z wiatraka rozciągał się widok na całą okolicę, więc ktoś nazwał młynarza Latarnikiem i tak już zostało.

Skrzydła wiatraka obracały się monotonnie, samotny Latarnik stał w któryśś z dwu przeciwległych okienek, jednym z widokiem na wieś, drugim na las. Patrzył. A jak patrzył, to sporo widział. Przed wojną tyle się tego jego patrzenia i widzenia uzbierało, że jeden z mieszkańców wsi, dotąd nierozpoznany złodziej krów i czegoś popadło, złożył mu pewnej nocy sąsiedzką wizytę i obiecał, że jeżeli Latarnik piśnie choćby słówko o tym, co widuje i kogo widuje po nocach, to pewnego razu młyn, spłonie w ciągu kwadransa, a Latarnik przestanie być Latarnikiem.

Wybuchła wojna i ówże sąsiad jeszcze bardziej upodobał sobie noce. Zaczął pracować na dwóch etatach, w dzień jako partyzant, nocami zaś uprawiał swój przedwojenny wypróbowany zawód, tyle że już z bronią w rękę. Nic więc dziwnego, że ponownie złożył wizytę Latarnikowi, który nockami potajemnie mełł pozakontyngentowe zboże chłopom. I znów przypomniał mu, że niedobrze, gdy ktoś za dużo wie i widzi, szczególnie nocą, a jeszcze do tego w czasie wojny. Latarnik zrozumiał, oba okienka zasłonił starymi workami i tak dotrwał do wyzwolenia.

Po wojnie nasmarował wszystko, co należało nasmarować, zdarł worki z okienek i uruchomił wiatrak. Chłoptwo rzuciło się hurmem, pomne na przedwojenne i wojenne mąki Latarnika. I tak się sprawy miały rok czy dwa. Aż nadeszły takie czasy, konkretnie takie noce, kiedy las znów ożył, znów padały strzały, w półmroku snuły się z lasu i do lasu sylwetki ludzkie.

Latarnik stał i patrzył, jak za dobrych przedwojennych lat bywało. A jak stał i patrzył, to — chciał nie chciał — sporo widział i zapamiętał. Przestał się też obawiać sąsiada o dwóch nocnych fachach, bo ten wstąpił do Urzędu Bezpieczeństwa, ale nie na chwilę, tylko na stałe, i jako obrońca władzy ludowej próbował bezskutecznie zresztą, tępić tamto nocne życie wsi i okolicznych lasów.

Wreszcie przypomniał sobie Latarnika i jego niechcianą dalekowzroczność. Tak doszło do trzeciego spotkania fejs zaprzyjaźnionej dwójki. Tylko że teraz obrońca władzy ludowej zażądał czegoś zupełnie odwrotnego, tego, za co dwukrotnie już groził Latarnikowi podpaleniem wiatraka. A mianowicie, aby stojąc sobie nockami w tych swoich dwóch okienkach, raczył przyuważyć, kto, gdzie i kiedy przychodzi, wychodzi, z kim i tak dalej. Bo jeżeli tego nie zrobi, odmówi, to...

I tu nocny gość Latarnika zawahał się, ale tylko na chwilę. „Bo jak nie, to my sobie z tobą już pogadamy!” — dokończył.

Po jego wyjściu Latarnik długo stał w jednym z okienek. Skrzydła kręciły się jak zawsze, kamienie dudniły jak zawsze, lecz tym razem ich właściciel nie mógł, nie chciał postąpić jak zawsze, czyli posłuchać się znajomka, a konkretnie patrzeć na las i wieś, śleźć to nocne życie okolicy i sprawozdawać o nim gdzie trzeba. Jak większość młynarzy, był człkiem uczciwym, choć prostym, do spowiedzi chodził, za Niemca nikogo nie wydał, w życiu nikomu nic nie ukradł, a tego, że czasem niezupewnie dokładnie wystukał drewnianym młotkiem czyjeś otępy z przewodów wiatraka, nie uznawał za kradzież czy grzech. Ale ludzi wydawać? Na więzienie skazywać? I za co? Ze chcą Polski takiej, o jaką walczyli przeciwko Niemcowi? Nie, tego nie będzie robił!

Po tej rozmowie obrońca władzy nachodził go kilka razy, lecz za każdym słyszał to samo: nikogo nie widział! A była to nieprawda oczywista dla obydwu, bo wieś nadal pozostawała tym miejscem, gdzie urywały się liczne tropy i poszlaki o ludziach niechętnych nowej władzy.

No i doczekał się. Któregoś popołudnia skrzydła wiatraka przestały się obracać. Latarnik wylądował w powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa. Jako ten co świadomie kryje wrogów władzy, choć zna ich doskonale, został poddany paromiesięcznej intensywnej obróbce, z której wyszedł połamany na duszy i ciele, zwłaszcza kościach, z wybitymi zębami, porażeniem nerwów ruchowych prawej części ciała. Słowem — wrak, a do tego zniechęcony wróg ludu.

A co z młynem?

Jak to co? Już go nie było. Nieznani sprawcy puścili z dymem obserwatorium Latarnika, jedyne na świecie Latarnika, który nigdy w życiu nie widział prawdziwego morza.

Czy z tej opowieści wypływa jakiś morał dla współczesnych? Może tylko taki, że nie warto wiedzieć i wiedzieć za dużo. Wszystko inne już nieaktualne. Jak istnienie wiatraków, tych młynów bożych, poruszanych ręką niewidzialnego. Amen.